ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK VI. Nr 29 (265)

LONDYN, 20 LIPCA 1952 R.

STEFAN BADENI

OJCIEC POSSEVINO

Młody rycerz hiszpański Inigo Loyola, Baskijczyk urodzony u schyłku XV w., broniąc przeciw Francuzom twierdzy Pampelona odniósł ciężkie rany. Przewieziono go do pobliskiego zameczku. Ale złamaną nogę źle złożono, trzeba było łamać ją na nowo, odpiłować kość i zakładać szyny. Bez skargi zniósł rycerz srogie cierpienia; miał serce mężne i prawe, lecz skierowane jeszcze ku rzeczom ziemskim. Jego gotowość do poświęcenia jakby czekała na podnietę, by, coraz się wzmagając, rozgorzeć w służbie ideałom najwyższym. Na łożu boleści zażądał Inigo powieści rycerskich; nie było takich na zamku i przyniesiono mu „Żywoty Świętych". Zatopił się w czytaniu i wkrótce przejęty do głębi tylu wzniosłymi przykładami postanowił oddać się całkowicie miłości Boga i pociągnąć za sobą innych. Odzyskawszy siły przystąpił do dzieła.

Po wielu latach nauki i podróży, umartwień i rozmyślania ułożył Ignacy Loyola regułę zakonną i, wyświęcony na księdza a otoczony towarzyszami spośród najlepszych, przedstawił ją w r. 1540 papieżowi Pawłowi III. Papież ten, jeden z najprzenikliwszych, ocenił przyszłe znaczenie zakonu odbiegającego od wzorów istniejących i potrzebę takiego właśnie w czasach, gdy szybki rozrost nauki Lutra niehamowany przez gnuśność trwających jeszcze przy swej wierze katolików wołał o ocknienie i walkę.

Bojowa była reguła „Towarzystwa Jezusowego": Loyola dążył w niej nie tylko do umocnienia i strzeżenia nietkniętych jeszcze dziedzin Kościoła, ale pragnął też śmiałego wdarcia się w duchowe szeregi nieprzyjaciela, odbicia utraconych terenów i wyzwolenia dusz z więzów błędnych nauk. Jego myśl żołnierska przejawiała się także w nacisku położonym na obowiązek posłuszeństwa. W bezgranicznym oddaniu się Ojcu św. mieli jezuici bez wahania wypełniać każde jego zlecenie. Mądra hierarchia wewnątrz zakonu zabezpieczała ład i celowy rozdział pracy poszczególnych zakonników, których przed ostatecznym przyjęciem brakowano surowo badając również i fizyczną wytrwałość. Umartwianie ciała nie było przepisane: wszak organizm żołnierza winien być wypoczęty i silny.

Żaden może z następców Pawła III nie poparł jezuitów w tym stopniu, co Grzegorz XIII, obrany w r. 1572. Pełnił przedtem służbę polityczną przy Stolicy Apostolskiej i misje dyplomatyczne; polubił sposób działania za pomocą osobistego porozumiewania się i jako papież postanowił powierzać podobne zadania uczniom Loyoli.

Reformacja protestancka objęła także i Skandynawię. Do Szwecji wprowadził luteranizm założyciel dynastii Wazów Gustaw. Potężnym bodźcem tutaj, jak i w innych krajach, była chęć zagarnięcia dóbr kościelnych. Były istotnie nadmierne, ale nie dostały się ubogiemu włościaństwu. Zatrzymał je król, a dopuszczając do nich i możnych swego królestwa zjednywał ich łatwo dla nowego wyznania. Prosty lud był do dawnej wiary wielce przywiązany, ogłoszono więc, że nie została zmieniona, lecz tylko oczyszczona i zachowano zewnętrzne cechy Kościoła katolickiego.

Drugi spomiędzy czterech synów Gustawa, Jan, był charakteru słabego, ale umysłowo najbogaciej wyposażony. Miłośnik wiedzy teologicznej i Ojców Kościoła, pragnął ponownego zbliżenia się do katolicyzmu. Utrzymywała go na tej drodze żona, Katarzyna Jagiellonka, dzieląca dobrowolnie więzienie, do którego wtrącił Jana starszy brat, król Eryk. Gdy jednakże król popadł w obłąkanie, wstąpił Jan w r. 1568 na tron i zaraz począł, choć nie otwarcie, podważać dokonania reformacji. Arcybiskupem zamianował luteranina, skłonnego do porozumienia i nałożył mu jako warunek ponowne zaprowadzenie kultu Świętych i modłów za dusze zmarłych. Sprowadził po kryjomu kilku jezuitów. Pierwszym był Polak o. Stanisław Warszewicki, który przybył w przebraniu i jako poseł króla polskiego. W ciągu 10 dni swego pobytu spędzał po kilka godzin dziennie na rozmowach i dysputach z królem, którego próżności schlebiało błyszczeć przed uczonym mężem znajomością teologii. Innych kapłanów Towarzystwa Jezusowego umieścił Jan jako nauczycieli w szkołach. Uchodzili za zwolenników Lutra i powoływali się na nauki reformatorów, ale czynili to w sposób wykazujący pośrednio kruchość heretyckiej doktryny. Pozyskanych tajemnie uczniów wysyłali za granicę kraju do swych kolegiów i seminariów na dalsze nauki. Królowa Katarzyna nie szczędziła na ten cel talarów. Usunięto ze szkół katechizm Lutra i powstał na nowo jeden z klasztorów.

Wszystkie te poczynania śledzono w Rzymie uważnie i z nadzieją rychłego powrotu Szwecji na łono Kościoła. Królowi zależało na nawiązaniu bezpośrednich stosunków z Watykanem; do jego zamierzeń religijnych dołączały się i względy świeckie. Pragnął przymierza z Hiszpanią i związków rodzinnych z Habsburgami i chciał wejść w posiadanie spadku należnego królowej ze sum neapolitańskich po matce, Bonie Sforza. Grzegorz postanowił wysłać do Stockholmu zaufanego dyplomatę, wkrótce uczynił wybór osoby.

Antonio Possevino urodził się w Mantui w r. 1534. Po świetnym ukończeniu szkół został w Rzymie sekretarzem kardynała Gonzagi. Obdarzony rzutkim rozumem, wymową i zdolnościami dyplomatycznymi, mógł liczyć na wybitną karierę zwłaszcza, że nie brakło mu wpływowych opiekunów, ale żarliwa jego pobożność skierowała go tam, gdzie według swego przekonania mógł najlepiej posłużyć sprawie Chrystusowej. Przyjęty do zakonu Loyoli pracował przez pewien czas u boku o. generała, który go wysłał następnie do Sabaudii. Zasłynął tam jako kaznodzieja i zręczny polemista ścierający się w publicznych dysputach zwycięsko z pastorami i predykantami. Długie lata spędził we Francji, gdzie założył kilka kolegiów; miłosiernym działaniem objął i najnieszczęśliwsze może, najbardziej opuszczone istoty ludzkie w Europie udzielając dobrodziejstwa rekolekcji skazańcom na galerach. Śmiałym głoszeniem prawdy katolickiej ściągnął na siebie gniew hugenotów i musiał nawet na pewien czas opuścić kraj.

Na polecenie papieża wyruszył o. Possevino w jesieni r. 1577 do Stockholmu. W Pradze wręczyła mu cesarzowa Maria, wdowa po Maksymilianie II a siostra Filipa hiszpańskiego, pismo dla króla. Przybył do Szwecji przy szpadzie, w wykwintnym stroju, który nosił ze swobodą bywalca dworów i zamków; pociągłą twarz o cienkich rysach, okoloną lekko jasną brodą, ożywiało bystre spojrzenie. W wyczerpujących rozmowach z królem rozproszył tkwiące w nim jeszcze wątpliwości dogmatyczne; nie było to trudne, bo Jan chciał być przekonany. Mniej jasno przedstawiała się sprawa ustępstw, o które król prosił nie z własnego przekonania, lecz dla uniknięcia zbyt wielkich oporów przy ponownym wprowadzeniu katolicyzmu w kraju. Chodziło zwłaszcza o dozwolenie Komunii św. pod dwiema postaciami, o zniesienie celibatu i o pozwolenie odprawiania Mszy św. w języku krajowym. O. Antonio nie miał pełnomocnictwa rozstrzygnięcia tych żądań, były już przedłożone w Rzymie i przedmiotem obrad komisji kardynałów, ustanowionej w tym celu przez papieża. Ale król nie uzależniał od wyniku swych osobistych postanowień i oświadczył gotowość natychmiastowego przejścia na katolicyzm. W komnacie jego stanął ołtarz, Jan złożył wyznanie Wiary w obecności królowej i dwu zaufanych dostojników i wyspowiadał się; potem uradowany objął kapłana serdecznie, mówiąc: „tak samo jak Ciebie teraz, Ojcze, tak obejmuję w tej chwili Wiarę św.". Spowiedź przyniosła mu wielką ulgę, bo sumienie jego uciskała świadomość ohydnej zbrodni, którą popełnił wkrótce po wstąpieniu na tron: za wiedzą i zgodą stanów szwedzkich polecił otruć swego obłąkanego brata.

Possevino pośpieszył z radosną wiadomością o nawróceniu się władcy Szwecji do Rzymu. Po drodze zatrzymał się znowu w Pradze, tam uzyskał od cesarza Rudolfa obietnicę wydania arcyksiężniczki za syna królewskiego i odebrał wiadomość, że król hiszpański całą siłą wesprze Jana, jeśliby niemieccy książęta protestanccy wypowiedzieli mu wojnę.

Ale w Rzymie orzeczenie komisji brzmiało nie po myśli króla. „Jedynie w sprawie zagarniętych dóbr" — mówili kardynałowie — „porozumienie jest możliwe; w dziedzinie kultu i obrządku nie można przyznać Szwecji przywilejów, te same zasady muszą obowiązywać wszędzie". O. Antonio tłumaczył, wyjaśniał jak trudne będzie wobec tego stanowisko władcy; nie zdołał przekonać. Grzegorz żądał, aby Szwecja wróciła na łono Kościoła bezwarunkowo.

Droga powrotna jezuity prowadziła przez Bawarię. W Monachium rozmawiał długo z księciem Albrechtem. Na dynastii Wittelsbachów mógł Rzym polegać. W Augsburgu uzyskał od potężnego domu bankierskiego Fuggerów znaczny dar pieniężny na rzecz szkół jezuickich. Zatrzymał się w Ołomuńcu dla założenia tam zakładu misyjnego, przeznaczonego do krzewienia wiary w krajach północnych. W Pradze przyjął go cesarz Rudolf, w Wilnie król Stefan Batory. Podróż trwała więc długo i dopiero w lecie r. 1579 przekroczył granice Szwecji, tym razem już w sukni zakonnej, wioząc wiele książek, listy i pełnomocnictwa. Lecz rychło spostrzegł wrogie nastroje. Przeciwnicy katolicyzmu rozwinęli w czasie jego nieobecności żywą działalność. Z Niemiec od książąt protestanckich napłynęły do króla upomnienia, przestrogi, niemiecki teolog dedykował mu książkę o wyznaniu augsburskim dodając pochlebstwa, na które Jan był czuły; zdołał nawet obudzić w nim na nowo skrupuły dogmatyczne. W samym kraju jedni ze względów materialnych obawiali się nawrotu katolicyzmu, inni byli przekonanymi, uczciwymi wyznawcami reformacji. Brat króla, książę Karol sudermanlandzki, równie twardy i stanowczy, jak Jan był miękki i chwiejny, powstawał w jej obronie gwałtownie.

Na dwugodzinnym posłuchaniu zdał papieski wysłannik sprawę ze stanowiska zajętego przez Watykan. Ani zręczny dobór argumentów, ani dar umiejętnej rozmowy, którym się jezuita odznaczał, nie zdołały osłodzić goryczy odmowy surowej i zupełnej. Jan czuł się głęboko dotknięty w swej miłości własnej; wszystkie jego życzenia były pominięte, nawet te, które zdaniem jego, dotyczyły spraw drugorzędnych, jak zniesienie użytku wody święconej. Nie widział dla siebie możności stanięcia przed swym społeczeństwem z rękami pustymi — i wielka sprawa, której o. Possevino poświęcił tyle starania, została poniechana, a upadła ostatecznie ze śmiercią królowej Katarzyny.

Król nie powróci do wyznania luterskiego, lecz nie będzie miał siły charakteru ogłoszenia się katolikiem, choćby przyszło złożyć koronę. Będzie nadal zajmował się zagadnieniami teologii, a może nimi tylko igrał i utworzy sobie własną, pośrednią religię.

Pobyt wszakże o. Possevino i uczniów Loyoli w Szwecji nie był daremny. Zjednali Wierze wyznawców, a przede wszystkim utwierdzili w niej królewicza Zygmunt urodzony w więzieniu gripsholmskim i wychowany przez matkę w katolicyzmie stał się wyznawcą niezachwianym i będzie jako król polski jednym z tych książąt okresu t. zw. kontrreformacji, którzy, jak cesarz Ferdynand II i jak najwybitniejszy rozumem książę Maksymilian bawarski, będą strzegli niezłomnie drogi wytyczonej im za młodu w kolegiach jezuickich.

Dla Grzegorza XIII niewprowadzenie nawy szwedzkiej do rzymskiej przystani było zawodem bolesnym i cierpieniem nie mniejszym — jak mówiono — aniżeli niemożność skutecznego zwołania krucjaty przeciw Osmanom.

Ale zaufania swego nie cofnie ojcu Possevino! Okaże to niebawem powierzając mu nowe zadanie, wagi ogromnej i rozgłośniejsze jeszcze, aniżeli była misja szwedzka.

Stefan Badeni

ROSA BAILLY

ANIOL

Jestem lekką wolnością, co gra z wiatrami,
Obrócę się — i ziemię mam pod sobą nisko:
Góry porozrzucane ostrymi skrótami,
Podobne do grzeszników, klęczących gromadnie
Z różańcami potoków lśniącymi srebrzysto...
A za chwilę — me skrzydło zawiruje nagle,
Znów widzę tylko wodę niebieskiej otchłani
I nurkuję, by znaleźć w niej perłę najczystszą:
Łzę, co spadła z Twych oczu, Przenajświętsza Pani.

MATKA BOSKA ZWYCIĘSKA

Gdy się wznoszę do Boga otęskniałym lotem,
Gwiazdy mam ponad głową, księżyc pod stopami,
Chwytam w przelocie gromy czerwone i złote,
Jak dziecko, co się bawi maków płomieniami;
Strzała gniewu w mych palcach kwiatem się rozplata:
Igraszką mi — strach, burza i wszelkie zło świata.

Rosa Bailly

Przełożyła: **Zofia Bogdanowiczowa**

Z tomiku „La flamme et la rose", napisanego w Polsce, a wydanego w Paryżu, w r. 1940.

FELIKS BOHDANOWICZ

POZNANIE I MIŁOŚĆ

Wiara, uzasadniona rozumowymi przesłankami, uczy nas, że Bóg jest Dobrem, które obok Prawdy stanowi nieodłączną cechę pojęcia Bytu absolutnego i to tak dalece, że na szczeblu Absolutu pojęcia bytu dobra i prawdy są zamienne, a więc mogą sobie służyć wzajemnie jako synonimy.

Zgodnie z twierdzeniem św. Tomasza z Akwinu Dobro z natury swej jest rozlewne, przyciągające i udzielające swej natury tak środkom, jak i przedmiotowi dążącemu doń. Wyrazem rozlewności Dobra, tej miłości Bożej, jest stworzenie świata z człowiekiem na czele. Celem więc tego aktu stwórczego było użyczenie Dobroci Bożej człowiekowi („Miłością wieczną umiłowałem cię, dlatego przyciągnąłem cię..." — Jerem. XXXI, 3).

Bóg, jako całkowicie wystarczający sobie, nie potrzebował dla Swego szczęścia wewnętrznego stworzenia świata; atoli Bóg, poznany przez człowieka w stworzeniach i ukochany, otrzymuje należną Mu zewnętrzną chwałę. „Cały pożytek z troski o chwałę Bożą spływa tylko na człowieka, bo poznać Prawdę najwyższą jest szczęściem jego rozumu, a ukochać Dobro najwyższe — szczęściem jego woli" (Ks. Kwiatkowski Filozofia wieczysta, p. 874).

Rozum ludzki, wzbogacony wiarą i wiara, wsparta rozumem, pozwalają człowiekowi poznać Prawdę i Dobro oraz znaleźć właściwą drogę do osiągnięcia szczęścia prawdziwego, którym jest Bóg — jedyny cel godny człowieka.

Samo poznanie rozumowe nie jest wystarczające. Filozofia ujmuje Boga pojęciowo, abstrakcyjnie i jednostronnie — głównie w aspekcie wszechpotężnej Mądrości. Religia natomiast ujmuje Boga przede wszystkim w aspekcie Dobra najwyższego i to w sposób bardzo konkretny, osobowy i bliższy człowiekowi. Prawda sama, działając głównie na rozum, rzadko pociągnie człowieka, a wiedza sama nie zbawi go (znamy wielu wybitnych filozofów, którzy pomimo rozumowego poznania Boga pozostają dlań obojętni). Jako przykład tego rodzaju abstrakcyjnego ujęcia Boga — w oderwaniu od światła wiary — może służyć twierdzenie, wypowiedziane przez słynnego astronoma i myśliciela Jeansa, że nie ma podstawy dla przyjęcia myśli, aby „Wielki Budowniczy wszechświata" stworzył go specjalnie w celu umożliwienia powstania życia biologicznego, a więc i warunków istnienia dla człowieka. Raczej należy — jego zdaniem — przypuścić, że tym celem jest manifestowanie gry sił magnetycznych czy promieniotwórczych...

Bóg, widziany jedynie w aspekcie Prawdy, tylko częściowo mógłby zaspokoić aspiracje ludzkie. Dopiero Dobro, rozpoznane przez wiarę i rozum, pociąga za sobą wolę, a więc całego człowieka w obu jego istotnych władzach: rozumie i woli.

Bowiem według św. Tomasza każde dobro, rozpoznane jako takie — nie wyłączając nawet dobra zrozumianego źle wskutek błędnej oceny rozumu — pociąga za sobą s i ł ą k o n i e c z n o ś c i wolę i jej pochodne: pożądanie i miłość. Człowiek ma założony swój cel i swoje szczęście w Bogu i to jest istotne dla jego natury. Nieobecność tego celu w dążeniach i czynach ludzkich stanowi istotny brak w jego naturze, czyli zło (zło więc — według Akwinaty — jest jedynie brakiem dobra, nie jest pojęciem absolutnym, lecz relatywnym, nie posiada bytu w sensie pozytywnym, gdyż jako zaprzeczenie dobra jest tym samym zaprzeczeniem bytu).

Szczęście człowieka — jako cel istnienia — polega na połączeniu się z praźródłem szczęścia — Bogiem. Człowiek łączy się z Bogiem przez miłość. Dwie są władze współdziałające w tym kierunku: rozum i wola. Zadaniem rozumu jest poznanie (przy współudziale wiary) obiektu miłości jako Prawdy i Dobra. Dopiero uprzednie poznanie Dobra pociąga wolę, za nią idzie miłość, która przypieczętowuje połączenie się z Bogiem w sposób najpełniejszy: amans est in amato et amatus in amante — kochający jest w kochanym, a kochany w kochającym (Św. Tomasz Suma teol.).

Poznanie więc musi poprzedzać miłość. Wymaga tego porządek logiczny i psychologiczny. Aby czegoś pożądać, coś kochać, trzeba najpierw poznać to, wiedzieć o tym. Tego żąda logika. W porządku psychologicznym również najpierw następuje poznanie (postrzeżenie przez zmysły oraz łączenie doznanych wrażeń w jednej świadomości jako akt myśli), następnie określenie stosunku podmiotu poznającego do przedmiotu poznawanego: przyjemny lub nieprzyjemny, pożądany lub niepożądany — a więc akt wolitywno-uczuciowy.

Na początku był Logos a nie ethos — rozum a nie czyn (S. Świeżawski Byt).

Wprawdzie nie jesteśmy w stanie tu na ziemi poznać Boga w pełni, a tym samym i najpełniej umiłować (z wyjątkiem stanów połączenia mistycznego) — „Bo częściowo tylko poznajemy... Teraz widzimy przez zwierciadło w zagadce, lecz wonczas twarzą w twarz; teraz poznaję częściowo, lecz wonczas poznawać będę, jakom i poznany jest" (Św. Paweł Pochwała miłości) — jednak i tu możemy poznać Boga na tyle wystarczająco, aby Go ukochać „ze wszystkiego serca, z całej duszy i ze wszystkich sił". Zakres poznania będzie, oczywiście, różny dla różnych ludzi. Nie chodzi wcale o to, by każdy koniecznie musiał zostać teologiem; wystarczy, by w miarę sił i możliwości każdy starał się dążyć do coraz lepszego poznania Boga. Bóg tworząc doskonałą jedność, jawi się nam pod różnymi aspektami: jako absolutny Byt, Prawda, Dobro i Piękno i każdy może odpowiednio do swego poziomu umysłowego, swych uzdolnień oraz dominującej cechy psychicznej (intelekt, wola, uczucie) znaleźć odpowiedni kierunek swych dociekań. Oczywiście musi być zapewnione pewne minimum ogólnej wiedzy teologicznej, wymagane od każdego chrześcijanina.

Łaska współdziała z naturą, szanując z całą subtelnością przyrodzone cechy i właściwości ludzkie. Św. Tomasz z Akwinu, św. Ignacy Loyola, św. Franciszek z Asyżu — oto trzy typy ludzkie, reprezentujące trzy odmienne cechy charakteru (intelekt, wola, uczucie), które nie przeszkodziły im w promieniach jednej i tej samej miłości osiągnąć szczytów świętości.

Toteż przewaga w naszym charakterze narodowym pierwiastków wolitywno-uczuciowych nad intelektualnymi nie jest żadną wadą ani przeszkodą, o ile rozumowi będzie zagwarantowane należne mu miejsce.

„Kto chce jechać wygodnie i bezpiecznie, niechaj do wozu zaprzęga uczucie, ale na koźle niechaj umieści intelekt" (J. Geyser Erkenntnistheorie).

W naszym życiu religijnym władze poznawcze były spychane na ostatni plan, a na czoło wysuwał się zespół mglistych wyobrażeń o wybitnie uczuciowym zabarwieniu. Dziś w Kraju sytuacja ulega dużej zmianie, sądząc chociażby na podstawie skrępowanego, ale jednak owocnie rozwijającego się piśmiennictwa religijnego o wysokich walorach intelektualnych. Jest to niewątpliwie przejaw samoobrony przed dialektyczno - rozumowymi atakami komunizmu. Należy mieć nadzieję, że ta zdobycz naszego katolicyzmu pozostanie naszym trwałym nabytkiem.

Niestety, my tutaj na emigracji (mam na myśli starszą generację) skostnieliśmy w naszych przedwojennych poglądach we wszystkich niemal dziedzinach, nie wyłączając religijnej. Żyjemy wspomnieniami stosunków przedwrześniowych i mirażem odwracalności zjawisk. Zachodzi uzasadniona obawa, że po powrocie będziemy się czuli nadal emigrantami — i to we własnym Kraju — w wielu dziedzinach życia, nie wyłączając religijnej.

Z osobistej obserwacji mogę stwierdzić zakorzeniałą niechęć ogółu do pogłębiania wiedzy religijnej, nawet tam, gdzie istnieją wszelkie ku temu warunki i możliwości. Życie religijne — jak każdy zresztą przejaw życia — wymaga ruchu, nie znosi zastoju. Brak zainteresowania problematyką religijną jest oznaką skostnienia i w rezultacie łatwo doprowadzi do stanu, który M. Sambor dobitnie określił słowami: tępa wiara, martwa nadzieja, zimna miłość.

Czynnikiem dynamizującym życie religijne jest miłość. A miłość żąda poznania. I w poznaniu rodzi się i wzrasta miłość.

Feliks Bohdanowicz

BOLESŁAW TABORSKI

KATOLICYZM SŁOWACKIEGO

(Dokończenie z nru 27)

W czasie pobytu na Wschodzie Słowacki spędził 45 dni w klasztorze księży ormiańskich Betcheszban w Libanie. Ojcowie przyjęli go gościnnie i bardzo go polubili. Tam pisał **Anhellego** i tam też nastąpił drugi, po grobie Chrystusa, przełom. Tak o tym pisze do Matki:

„Dzień Wielkiej Nocy przepędziłem w tym klasztorze i przyjechał umyślnie ksiądz jezuita (prawdopodobnie ks. Ryłło, przyp. B. T.) ofiarując mi się za spowiednika. Zrazu nie chciałem tego uczynić, lecz jego przyjacielskie nalegania sprawiły, że wyspowiadałem się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w szarej godzinie poranku uklęknąłem przed nim chcąc wymówić pierwsze słowo, rozpłakałem się jak dziecię, tak mi to przypomniało dawne lata, dawną niewinność, wszystko od czego mnie potem długie lata oddzieliły... Po skończonej spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mię po ramieniu i rzekł: „Idź w pokoju: wiara twoja zbawiła ciebie."

Dzieła z okresu podróży na Wschód i pobytu we Florencji (1837 — 1838) dają świadectwo jego nowej postawie. Surowy, lecz sprawiedliwy, sąd Słowackiego nad współczesnym mu pokoleniem, wyrażony w **Anhellim**, jest bardziej zgodny z prawdą a więc i z katolicyzmem niż mesjanistyczny idealizm **Ksiąg Pielgrzymstwa**, **Przedświtu**, czy **Psalmów przyszłości**, mimo zewnętrznej postawy religijnej tych utworów. Widzimy odtąd u Słowackiego konsekwentną postawę etyczną w jego dziełach, w przeciwieństwie do utworów sprzed 1831 roku. Kochający ojczyznę Dantyszek doznaje pocieszenia po śmierci synów i widzi męki zdrajców. Anhelli staje się przyjętą przez Boga ofiarą za grzechy swego pokolenia, gdyż ma serce czyste, pełne miłości i litości dla bliźnich. Prof. Konrad Górski widzi w tym dziele tendencje aspołeczne: czystość moralna uzyskana jest przez usunięcie się od życia. Wydaje mi się jednak, że większą rację ma prof. Kleiner upatrujący centralną ideę **Anhellego** w tym, że „człowiek święty służy narodowi przez to samo, że jest świętym." Słowacki uznaje istnienie „solidarności duchowej, możliwości uczestniczenia ogółu w zasługach jednostek... Na tym polega idea chrześcijańska Odkupienia i świętych obcowania." (**Juliusz Słowacki**, str. 234). Anhelli głosił „altruizm skrajny i bezwzględną negację egoizmu." Jednostka święta istnieje dla drugich i winna zaprzeć się samej siebie. Tego przecież Chrystus wymagał od wybranych. Lilla Weneda ma duszę chrześcijanki i chrześcijańska jest jej ofiara. (N.b. św. Gwalbert daje tu w imię Boga zwycięstwo najeźdźcom; jest to nowy atak na Grzegorza XVI. Ale Słowacki nie zaprzecza, że Gwalbert ma prawdziwą misję i istotne objawienie N.M.P. Poeta wyraźnie daje tu odczuć, że reprezentanci Kościoła w sprawach świeckich okazują bezsilność i dezorientację, mogą nawet być jednostkami marnymi, ale posiadają prawdę religijną. Słowacki stale podkreślał tę istotną prawdę katolicką o Bosko-ludzkiej kompozycji Kościoła, w którym Boski element jest doskonały, ludzki skażony.)

W tym okresie przebywał Słowacki sporo w towarzystwie Krasińskiego, po którego wyjeździe pisze:

„Żegnaj, o żegnaj, archaniele wiary!
Coś przyszedł robić z moim sercem czary:"

Słowacki sam wierzy już mocno. Ale wiara była dopiero pierwszym stopniem do doskonałości. Zostawał jeszcze bezmiar pracy nad sobą, przezwyciężenie wad, przyzwyczajeń, wygodnictwa. Gdy wydawca przysłał poecie świeżo wydanego **Anhellego**, Słowacki poszedł do kościoła, zanim wrócił do domu zobaczyć swe „dziecię":

„Już chciałem wracać śpiesznie, ale przypomniałem sobie, że jest niedziela, że kościoły otwarte, że Bóg tak jest dobry dla mnie, więc poszedłem do... katedry i... zacząłem myśleć o Bogu, aż oczy moje napełniły się łzami. Upokorzyłem się, bo mi się zdawało, żem tego ranka urósł nieco i że Bóg upokorzenie moje widzieć będzie, jak gdyby jaka z najwyższych kolumn w ruinie upadała przed nim... Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny." (List z 21.8. 1838).

Tak więc Słowacki był jeszcze „katolikiem dumnym". To wyjaśnia jego pogardliwy stosunek do wiary „maluczkich" w **Beniowskim**, o czym już wspomniałem. Dogmaty uznaje, ale uważa, że dla wielkich ludzi nie wystarczają one. Nie drobne uczynki, ale wielkie czyny są potrzebne dla czci Bożej. Bliski już jest przełom, w którym zrozumie znaczenie pokory i wyższość zupełnego poniżenia Księcia niezłomnego nad postawą buntu. W imię swej idei Chrystusowej atakuje w **Beniowskim** partię katolicką wraz z **Młodą Polską**, co dowodzi ogólnego rozdrażnienia w owym okresie i tracenia przezeń perspektywy. Nie potrafił już odróżnić właściwych przedstawicieli odrodzenia katolickiego od ludzi **Młodej Polski**, a tylko z tymi ostatnimi miał na pieńku. Nie miało to związku z przystąpieniem poety do towiańczyków. Do Koła należał później i tylko przez rok, w okresie, gdy towianizm nie był jeszcze przez Kościół potępiony.

Gdy Słowacki przenosi się do Paryża w r. 1839, listy jego do matki więcej, niż dotąd, głoszą dobroć Bożą. Potęguje się to jeszcze po sukcesie **Beniowskiego**. W maju 1842 r. pisze: „Szczerze i ogniście dziękuję Bogu za jego niewidzialną pomoc." Jednak odczuwał Słowacki niedosyt duchowy w swoim życiu paryskim. Towiański ukazał mu horyzonty duchowego odrodzenia, pracy nad sobą, do czego jego natura właśnie dojrzała. Towiański przyłożył ogień do zbudowanego już stosu, który 13 lipca 1842 roku wybuchł potężnym płomieniem wiersza: **Tak mi, Boże, dopomóż**.

Niedawny artykuł ks. K. Kantaka w ŻYCIU p.t. „Słowacki a towianizm" omawiał ten problem. Przypomnę tylko, że był to ruch religijno-mistyczny zmierzający ku odrodzeniu duchowemu świata przez oczyszczenie osobiste każdego człowieka. Zakładał on istnienie świata jako zbiorowości duchów nieśmiertelnych, wznoszących się wspólnie na coraz wyższe szczeble rozwoju. Nie był to zresztą dokładnie sprecyzowany system. Wszystko opierało się o osobę mistrza Andrzeja Towiańskiego — maniaka, hypnotyzera, mistyka. Znękana, czująca za miliony, a myśląca za... wiele mniej emigracja w dużym stopniu nabrała się na to. Towiański przeszedł później do postawy dogmatycznej, odmówił podporządkowania się papieżowi, ruch ze względu na głoszone publicznie herezje został przez Kościół potępiony. Wkrótce się zdegenerował, doszło do pro-rosyjskich „duchowych" manifestacji. Oczywiście Słowackiego to nie dotyczy. Zetknął się z ruchem wcześnie, brał w nim udział krótko, a po wystąpieniu potępiał ekstrawaganckie postępowanie braci. Stworzył wówczas gmach własnego systemu filozoficzno-mistycznego i w nim już do śmierci pozostał.

W tym miejscu muszę przypomnieć, co pisałem na wstępie o brakach w wykształceniu religijnym romantyków. Brak ten był odpowiedzialny za to, że ludzie tej miary, co Mickiewicz i Słowacki, poszli na lep irracjonalnego i płytkiego w gruncie rzeczy ruchu. Mickiewicz związał się z towianizmem na długie lata i skutki były fatalne. Towianizm zniszczył jego twórczość poetycką, karierę naukową i szczęście domowe. Słowacki długo w Kole nie popasał i skutki okazały się błogosławione. Twórczość jego uzyskała nowe horyzonty, pogłębiła się i wzmogła na sile; jako człowiek wszedł poeta na drogę świętości. Znikła dotychczasowa duma; w ustawicznej pracy nad sobą zdobywa pokorę, radość wewnętrzną, prostotę; odrzuca blichtr, pozę i wszelkie światowe ambicje. Jako ideał wielkości przyjmuje doskonałe pełnienie woli Bożej: „Poznałem, że nie na to jesteśmy na ziemi, abyśmy szukali próżnej uciechy i posągów przyszłych... ale dla chwały Bożej jesteśmy i dla pracy prostej i czystej". Na miejsce dawnych buntowników bajronistycznych bohaterami, których opiewa, stają się zwycięzcy duchowi — ludzie chrześcijańskiego czynu, cierpienia, trudu etycznego, wyrzeczenia, jednym słowem święci: ks. Marek, Książę niezłomny, Zawisza Czarny (który wyrzekł się szczęścia osobistego i ukochanej kobiety), Agis (którego los przyrównany jest do męki Chrystusa; ginie za naród, któremu dobro przynosi), książę Michał Twerski (słowiański książę niezłomny), Makryna Mieczysławska (która miała być polską księżną niezłomną).

Sam był zdecydowany żyć tak, jak jego bohaterowie. Do przyjaciela, Wojciecha Stattlera, pisze dnia 15.1. 1844 r.:

„Chciałbym... aby było choć kilka tak czystych duchów w Polszcze, aby wierzyły, że zawsze i wszędzie wierny jestem i tak jak mój Książę Niezłomny... srogo i twardo stoję przy dawno strzeżonej chorągwi, a może na straconej placówce."

Modlitwa jest mu teraz pomocą i siłą życiową. Dnia 18.1. 1843 pisze do matki:

„Modlitwa prawdziwa prosi Boga, aby pokazał drogi do spełnienia woli Jego, aby dał niezachwianą moc i spokojne podniesienie serca nad serca ludzkie."

Filozofia Słowackiego znalazła swój wyraz poetycki przede wszystkim w **Królu Duchu**, w prozie zaś wyraziła się w licznych pismach, z których modlitwa-traktat, **Genezis z ducha**, jest najbardziej znana. W szczegóły wchodzić tu nie można, ale trzeba zatrzymać się nad niektórymi faktami. Ogólnym założeniem systemu było twierdzenie, że „wszystko przez ducha i dla ducha stworzone jest a nic dla cielesnego celu nie istnieje." To z katolicyzmem się zgodzi; ale w interpretacji Słowackiego świat składał się z doskonalących się wciąż duchów — od kamienia po anioła — za pośrednictwem metempsychozy. Począwszy od tego zasadniczego, pisma filozoficzne poety roją się od błędów teologicznych. Uznaje czyściec, ale piekła nie. Uważa, że nie należy przystępować codziennie do stołu Pańskiego („Nie poważę się codziennie po Krew Chrystusową chodzić..., albowiem nie chcę być pijawką, wiszącą u serca Pańskiego", pisze w **Rozmowie z księdzem**). Wówczas, przed apelem Piusa X o częstą Komunię św., wielu ludzi miało to przekonanie. Sakramenty Słowacki uznawał jednak i wyraźnie podkreśla, że nie jako pamiątki tylko, ale jako realną siłę. W sakramencie Eucharystii duchowa siła Chrystusa przelewa się w nas, tym większa, im większa jest wiara nasza. Kościół uznaje, ale ma do niego uprzedzenia. Kiedyś w poemacie **Poeta i natchnienie** powiedział:

„Fałszywa, dawna po Cezarach
wdowa
Kościół bez ducha Bożego
i słowa."

Dziś widzi jego wielkość i mówi: „Kościół katolicki — ta straszna siła i potężny anioł czynu" (**Rozmowy o celach finalnych II**), ale zaraz dodaje, że jest on spętany przez dewotów i świętoszków i dopiero ludzie prawdziwie święci muszą go uwolnić z więzów. W **Kazaniu na dzień Wniebowstąpienia** podkreśla, że liczy się następstwo papieży nie to widzialne, ale duchowe, t.j. ludzi, którzy są ogarnięci siłą duchową i „katolicki kościół przy Chrystusie utrzymują." Pięknie, tylko że Słowacki zalicza do nich Zwingliego i Lutra dowodząc tym samym niezrozumienia faktu, że w Kościele jest miejsce i na widzialną Hierarchię i na świętych, a świętym nie można być w oderwaniu od Kościoła, reprezentowanego przez Hierarchię. W **Raptularzu** mówi: „Księża używają prawdy, nadając jej znaczenie fałszywe" a nie widzi, że w zdaniu tym jest zasadnicza sprzeczność. Ale że Kościół ma prawdę, nie wątpi: „W dogmatach świętych katolickiego kościoła pokazują się nowe słoneczne prawdy duchowe", mówi w **Liście do Rembowskiego**, lecz dodaje, że stróże wiary ich nie widzą i odpowiedzą za opóźnianie sprawy Bożej. W **Raptularzu** przyrównuje też wiarę katolicką do posągu i mówi, że ludzie kłócą się „nie o cały, ale ten z tym o palce u ręki — ów z drugim o fałd szaty." Właśnie w ten sposób powstawały herezje, bo kto część prawd kwestionuje, na całe Ciało Chrystusa czyni zamach.

Oczywiście w pismach filozoficznych wieszcza jest wiele uwag trafnych, zwłaszcza odnoszących się do spraw moralnych. W jednym z urywków mówi, że przemiana świata musi nastąpić przez przemianę duchową człowieka. To samo dotyczy wysiłków zmierzających do odzyskania niepodległości. (Szerzej rozwinął tę myśl w tak bardzo dziś aktualnym **Głosie z wygnania do braci w Kraju**). W liście do gen. Rybińskiego oświadczył: „Ja ani do takiego wojska, ani nawet do takiej Polski, w której by prawdy nie było, należeć nie pragnę" W poglądach na politykę był realistą. Gdyby też mógł urodzić się, wzdycha — wiedząc, że to niewykonalne — „w kraju, gdziebym patrząc na rząd mógł Boga ukochać". (**Raptularz**). Krytyczne spojrzenie poety rozciągało się od kwestionowania zdolności emigracji do wspólnego działania („Emigracja jest jak wino stare, już go ani w stare, ani w nowe beczki lać nie można — musi zostać tak jak jest, w butelkach indywidualizmu."), do lapidarnego określenia dewociarstwa: „Każda dewotka przywiązana tylko do formy kościelnej... gorsza od Woltera materialistką jest." (list z 3. 6. 1844).

Wracając jednak do sprawy zasadniczej: co sądzić o nieortodoksyjnej niewątpliwie filozofii Słowackiego? Wydaje mi się, że prof. Kon. Górski znajduje właściwą odpowiedź. Poeta był przekonany, że jego „stanowisko religijne, filozoficzne i moralne... mieściło się w ramach tradycyjnego chrześcijaństwa. Mylił się pod tym względem niewątpliwie, ale nie był w tej omyłce odosobniony. Wielu najwybitniejszych naszych poetów i filozofów romantycznych wyznawało poglądy całkowicie z katolicyzmem sprzeczne, nie zdając sobie z tego wcale sprawy. Toteż nie pojęcia religijne i filozoficzne Słowackiego z doby mistycznej mają dla nas wartość, lecz postawa moralna, jaką on sam w tym czasie osiąga." (Tyg. Powsz. nr 211).

Kościół, w którym się modlił, był jak zawsze tak i wtedy kościołem katolickim. Katolickimi też pozostały istotne cechy jego religijności. Ożywiony był gorącym nabożeństwem do Chrystusa Pana i Niepokalanej (oto typowy zapisek w jego urywkach filozoficznych: „Odmówiłem nowennę do N. P. i czytałem Pismo św.") Umacnia się sakramentami Spowiedzi i Eucharystii. (W jednym z pism skarży się co prawda, że niektórzy księża robią mu trudności z powodu jego poglądów i musiał sobie wyszukać spowiednika „prostaczka", który by go przyjął).

Wszystkie świadectwa pod koniec jego krótkiego życia stwierdzają świątobliwość niemal jego życia, ascetyzm, pokorę i pogodę ducha. Uderzało zwłaszcza wszystkich jego zupełne poddanie się woli Bożej i wiara w działanie Opatrzności oraz realizm w poglądach na cel życia ludzkiego. Pisze o tym do matki 16. 4. 1844:

„Jeśli chcesz listów takiej gorzkiej a łagodnej melancholii jak dawniej, to próżno... bo także bym ja mógł melancholizować, widząc w każdym kroku sprawiedliwość Bożą i przekonany, że sam duch każdy winien jest smutku, który go uciska." W innym liście: „Błogosławion niech więc będzie Bóg za to wszystko, co zesłał." (2.8. 1842). Pisze też, że „pracuje nad sobą bardzo — bardzo — a czyni to podług pacierza", nauczonego przez matkę w dzieciństwie „prosząc o zdrowie, rozum, bojaźń Boską, miłość ludzką — i o wszystkie rzeczy, które z chwałą Bożą są." (24. 9. 1842).

Na temat modlitwy robi tę słuszną uwagę w liście z 28. 12. 1847:

„Ile razy Bóg nie spełnia naszej ziemskiej modlitwy, to tylko dlatego, że mędrszy od nas i wszystko wiedzący i czujący nas w sobie, wie, że się o rzeczy złe dla nas modlimy."

Pod koniec życia zerwał z romantyczną pogardą świata. Na miesiąc przed śmiercią pisze do krewnych:

„Sentymentalności wszystkie mało mnie obchodzą; życie ziemskie, jako podstawa życia duchowego i jako narzędzie wolności dla dopełnienia misji swojej, zajmuje mnie".

Zgodzimy się z Górskim, że „równało się to całkowitemu przezwyciężeniu ujemnych stron romantyzmu w sferze życia moralnego i osiągnięciu integralnej postawy katolickiej." (op. cit.)

Wraz z innymi romantycznymi cechami odrzucił również wieszcz indywidualizm i samotnictwo. Przybrawszy katolicką — społeczną — postawę względem życia bierze udział w poczynaniach wiosny ludów, tworzy konfederację. Gromadzi się wokół niego oddane mu, z niego czerpiące siłę ducha grono młodych przyjaciół. Wśród nich najwybitniejszymi byli: Kornel Ujejski (wybitny później poeta katolicki), Ludwik i Cyprian Norwidowie, a przede wszystkim Szczęsny Feliński, późniejszy bohaterski arcybiskup warszawski, którego przeznaczeniem było przygotować poetę na drogę wieczności i towarzyszyć mu do końca drogi ziemskiej. Młody, 23-letni wówczas ks. Feliński kończył swe studia w Paryżu. Słowacki pokochał go głęboko i on był odtąd jedynym powiernikiem myśli i uczuć poety. On też w ostatecznym stadium choroby, w marcu 1849 roku nie odstępował łoża chorego. Śmierć jest ostatecznym probierzem szczerości postawy życiowej człowieka. Słowacki jak żył, tak i zmarł jako katolik. Feliński tak opisuje ostatnie chwile poety:

„Słowacki był duszą piękną. O tym wiedziałem już dawno. Nigdy jednak piękność ta nie przemówiła tak silnie, jak w ostatnich chwilach życia. Obudziła się w nim głęboka wiara i zatarła ostatnie ślady wpływów Towiańskiego. Prawdziwie szczere usposobienie religijne Słowackiego stało się w ostatnich dniach bezgranicznym uwielbieniem Chrystusowego imienia. Wielekroć powtarzał: „Najwyższą miłością ziemską kochałem moją matkę — czymże jednak jest to ukochanie wobec miłości Chrystusa."

A przed śmiercią powiedział swemu przyjacielowi poeta:

„Jeśli zobaczysz moją ukochaną matkę, powiedz jej, że gdyby mi wolno było oddać ducha mojego w jej ręce, nie powierzałbym go z taką ufnością, z jaką składam go dziś w ręce Niebieskiego Ojca."

Patrząc na jego śmierć dochodzi Feliński do wniosku:

„Siła, darząca tę niepospolitą duszę tak niezakłóconym wobec śmierci pokojem, z prawdziwie chrześcijańskiej wiary i miłości wytryskać musiała." „W blaskach zachwytu przyjął Chleb Żywota i, w mękę Chrystusa wpatrzony, odszedł cicho, jak anioł modlitwy." „Dzięki niech będą Stwórcy — mówił przed samą śmiercią — że pozwolił mi przed zgonem przyjąć Sakramenta; myślałem często o tym, czy też tej łaski dostąpię."

Śmierć przyszła do niego tak jak o nią prosił w jednym z epigramatów:

„O krzyż Cię proszę modlitwą
gwałtowną,
. . . .
Panie! bo złych inaczej pokonać
nie można
Tylko w śmierci godzinie
miłością anioła."

W konkluzji powiedzieć możemy, że Słowacki był katolikiem z całą pewnością i to katolikiem gorliwym. Wraz ze swym pokoleniem dzielił ignorancję intelektualną zasad katolicyzmu, co nieświadomie wiodło go czasami do błędnych umysłowych koncepcji. Braki te rekompensował — po przebyciu w swym życiu zupełnie samodzielnie znamiennej ewolucji wewnętrznej — swą głęboką wiarą i swym wysokim poziomem moralnym. Jego życie religijne charakteryzowało się wielką pobożnością, ufnością, wiarą w Opatrzność i realizmem: zwłaszcza umiłowaniem Zbawiciela i Niepokalanej. Niech kilka fragmentów z jego wierszy da świadectwo temu, co czuł, bo jako romantyk, był Słowacki najbardziej sobą w poezji. Mimo krytyki przedstawicieli Kościoła był Jego przyjacielem i cząstką:

„Niechże nie powiada
Człowiek, że w moich słowach
kościołowi
Jaka nienawiść jest lub jaka
zdrada.
. . . .
O to więc proszę, aby mi na
progu
Pozwolił z mego narodu żebraki
Usiąść."

Kościołowi przyznaje pierwszeństwo w sprawach ducha:

„Gdziekolwiek jest duch,
kościół, który krwawo
Pracował, pierwsze ma do niego
prawo
. . . .
On pierwszy niech ma z sił
Pańskich użytek."

W wierszu tym (**To było w duchu**), którego całego przytaczać nie mogę, Słowacki otwarcie wyznaje braki towianizmu i podporządkowuje się bezwzględnie Kościołowi. Wielokrotnie w swej poezji wyraża poeta ufność w Bogu. N. p.:

„O! wielki Boże — o Panie
wszechmocny!
W Tobie jest światłość... siła
mego łona.
W Tobie ja ufam jak bocian
północny,
Którego skrzydło nad morzami
kona.
Wielkie mgły cisną i wiatr bije
mocny..."

Często też opiewa chwałę Boga: czasem w Jego majestacie:

„O Boże ojców moich Tobie
chwała
Na wieki wieków od Twojego
sługi" —

czasem prosto, jako dobrego Ojca:

„Chwal Pana, duszo moja.
Z głębokości twych zdroja
Wychwalaj świętość Jego.
Chwal! Chwal! Nieśmiertelnego
Za duch twój, za twe blaski,
Za wszystkie Jego łaski.
On cię usprawiedliwił,
Tylekroć ubezpieczył.
Nakarmił i uleczył.

Gdy zastanawiamy się nad sprawą stosunku Słowackiego do jego Boga, dochodzimy do stanowczego przekonania, że miał on prawo powiedzieć o sobie:

„Bogiem promienny
Odprawiam bezsenny
Anielską straż;"

a u jej kresu:

„....spełniłem twardą Bożą służbę;"

nade wszystko zaś:

„...z mego życia poemat dla Boga."

Bolesław Taborski

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Echo Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego. 28 czerwca Papież przyjął fotografa papieskiego, Luigi Felici, który wręczył mu artystyczny album z fotografiami z XXXV Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego w Barcelonie.

Sprawy beatyfikacyjne Polaków. W wikariacie Rzymu został zamknięty proces informacyjny sługi Bożej matki Jadwigi Borzęckiej, współzałożycielki zgromadzenia sióstr zmartwychwstanek. Proces rozpoczęty był 9 marca 1950 r. Proces informacyjny jej matki, Celiny z Chludzińskich Borzęckiej, założycielki tegoż zgromadzenia, trwał w wikariacie Rzymu od 31 października 1944 r. do 16 marca 1949 r., po czym został przeniesiony do św. Kongregacji Rytów.

W tymże wikariacie Rzymu został obecnie otwarty proces informacyjny w sprawie pism sługi Bożego, Jana Chrzciciela Cieplaka, arcybiskupa wileńskiego, więzionego i prześladowanego przez bolszewików. Postulatorem sprawy beatyfikacyjnej jest ks. prałat Walerian Meysztowicz.

Przeciwko lichwie mieszkaniowej. Minister sprawiedliwości stanu N.S.W. w Australii wezwał w prasie sydnejskiej wszystkich lokatorów i sublokatorów, którzy płacą zbyt wysokie komorne, by składali skargi wprost do kontrolera wynajmu (Rent Controller). Minister sprawiedliwości stwierdza, że jest wiele wypadków lichwiarskich cen za wynajem mieszkań i gwarantuje zachowanie zupełnej tajemnicy tak co do faktu doniesienia o lichwie mieszkaniowej, jak i co do osoby donoszącej. Warto zauważyć, że według prawa Australii nie wolno odmówić wynajmu mieszkania dlatego, że wynajmujący ma dzieci.

Dar Francji. Ambasador francuski przy Stolicy Apostolskiej, Włodzimierz d'Ormesson, w imieniu generalnej dyrekcji stosunków kulturalnych ministerstwa spraw zagranicznych w Paryżu ofiarował bibliotece Papieskiego Instytutu Archeologii Chrześcijańskiej bogaty zbiór najnowszych francuskich dzieł, odnoszących się do starożytności chrześcijańskich.

50-lecie męczeństwa. Z powodu przypadającej w dniach 5 i 6 lipca roku bieżącego 50-letniej rocznicy męczeństwa św. Marii Goretti odbyły się uroczystości przede wszystkim w Corinaldo, Nettuno i Ferriere, a Papież zwrócił się z okolicznościowym listem do żyjącej matki św. Marietty.

Religijne przedstawienia w Austrii. Na placu starego uniwersytetu wiedeńskiego przed kościołem jezuitów wiedeński Burgtheater wystawił T. S. Elliota „Morderstwo w katedrze". W czasie katolickich dni będzie wystawiony w jednym z kościołów w Wiedniu „Sen jeńców" Krzysztofa Fry. W Innsbruku, w nie wykończonym kościele wystawiono dramat „Błogosławieni jesteście, gdy was prześladować będą". Autorka dramatu z chóralnymi występami, opartego na obecnych prześladowaniach kościoła, jest b. aktorka Toni van Eyck.

Minister przeciw Bogu. Minister czechosłowacki Wacław Kopecky, na kongresie stowarzyszenia dla szerzenia znajomości polityki i wiedzy wygłosił przemówienie, w którym oświadczył, że reakcjoniści i konspiratorzy czynią z procesyj Bożego Ciała manifestacje antyrządowe. Minister twierdził, że nowożytna myśl nie może przyjąć idei stworzenia świata przez Boga, a przyczynami wiary w niego są brak wykształcenia i wiedzy lub zabobonne pojmowanie świata. Wszystko to — zdaniem ministra — stanowi stałą przeszkodę w ugruntowaniu socjalizmu i w wychowaniu „ofiar przeszłości" w materialistycznej filozofii klasy robotniczej i marksizmu-leninizmu.

Jubileusz Perosi'ego. W obecnym roku przypada 80-lecie urodzin sławnego kompozytora utworów kościelnych, Lorenzo Perosi, który jest dożywotnim dyrektorem chóru papieskiego — Cappella Musicale Pontificia.

Wystawa misyjna w Lisieux. Z powodu przypadającego w obecnym roku 25-lecia ogłoszenia św. Teresy od Dzieciątka Jezus patronką misyj urządzona będzie w Lisieux wystawa misyjna. Dekret papieski ustanawiający św. Teresę patronką misyj na równi z tytanem pracy misyjnej, św. Franciszkiem Ksawerym, jest dowodem, że wielkim misjonarzem można być nie tylko przez pracę na misjach, ale i przez ofiarowywanie swych prac i cierpień codziennego życia w duchu modlitwy i umartwienia.

Ekshumacja zwłok Matt Talbot. Dnia 29 czerwca b.r. na cmentarzu Glasnevin w Dublinie odbyła się oficjalna ekshumacja zwłok Matt Talbot, który zmarł w r. 1926. Aktowi przewodniczył arcybiskup Dublina. Prezydent O'Kelly obecny był jako jeden ze świadków. Szczątki świątobliwego robotnika złożono w nową trumnę oraz zapieczętowano. Akt ten jest jednym z ogniw procesu kanonizacyjnego.

WOJCIECH GNIATCZYŃSKI

POWIEŚĆ O „OSWOBODZENIU"

Coraz częściej zdarza się, że ktoś, kto przeżył coś ciekawego, niezwykłego albo po prostu coś, czym świat interesuje się w danej chwili, że człowiek taki to opisuje, pisze książkę (nie zastanawiając się zresztą nad tym, czy ma talent, czy umie pisać i czy w ogóle ma naprawdę coś do powiedzenia). Wydaje mi się, że najlepszą formą dla tego rodzaju wyznań byłby essay, rodzaj trudny ale i piękny i wdzięczny; autobiografia też miałaby swoje wdzięki, a nawet rozbudowany reportaż dałby ramy dostatecznie szerokie do objęcia tego, co się chce powiedzieć. Książki takie miałyby wszakże dwie poważne wady: po pierwsze, mało kto by je czytał, tym mniej kupował, a po drugie, napisanie ich wymagałoby wielkiego wysiłku myślowego, prawdziwego trudu pracy. Wielu autorów tworzy więc powieści, które jednak nie są powieściami, a tylko pretekstem do wyrażenia poglądów politycznych i filozoficznych, wspomnień osobistych z dalekiej lub niedalekiej przeszłości, sympatyj, ideałów, fobij. Takie pseudopowieści mnożą się na ugorze polskiej emigracji liczniej, niż gdzie indziej: „W Polsce między wojnami", „Obrachunek włodarzy" a teraz nowa książka Bulicza*), to tylko kilka przykładów.

Najbardziej oczywistą cechą wspólną tego rodzaju utworów — dla uproszczenia nazwę je pseudopowieściami autobiograficznymi, choć nazwa ta nie określa dokładnie zjawiska — jest to, że ich bohaterzy są sobowtórami swych twórców. „Jeśli jutro wojna..." tym różni się od przeciętnych pseudopowieści autobiograficznych, że Stefan Sobecki jest negatywnym sobowtórem Orwida-Bulicza: białe u autora jest czarne u sobowtóra. Należy przypuszczać, że Bulicz zdawał sobie sprawę z obecności owego „pierwiastka autobiograficznego", a może nawet świadomie go wplótł w swoją książkę, bowiem Sobeckiego uczynił pisarzem, demaskując jakby w ten sposób siebie samego. Chodziło mu zapewne o to, by na tle dziejów garstki ludzi, z których jednym był, oczywiście, on — świadek, wysnuć opowieść o „wyzwoleniu" Polski przez Czerwoną Armię. Jest to odwróconym, nieprawym procesem twórczym, bo literatura nie może, zgoła nie potrafi zajmować się czymś innym, niż człowiekiem. Nawet dzieła o bogach albo zwierzętach są w gruncie rzeczy antropomorfizacją bogów i zwierząt. Pisząc o człowieku, tworzy się również obraz czasów, w których człowiek ów żyje. Dlatego, że Bulicz próbował opisywać wydarzenia i poglądy, których nawet nie ilustrował, a tylko urozmaicił historią paru ludzi i to historią błahą, postacie jego książki są martwe. Nie wzruszają, nie budzą miłości ani nienawiści, co najwyżej czasami trochę irytują swą nicością.

Stosunkowo najlepiej sportretowaną postacią w „Jeśli jutro wojna..." jest Sobecki. Wokół jego miłości do Basi oplata się powieść. Basia, 21-letnia siostra jego zmarłej żony, rośnie pod jego opieką nie widząc, że Sobecki, człowiek 40-letni, kocha się w niej. Ludzki dramat powieści — cienki, ale jest — wypływa z tej miłości. Gdy jednak Basia w pewnej chwili waha się, czy wyjść za niego zamąż, czytelnik wpada w najgłębsze zdumienie. Nie mogła bowiem pokochać ani jego mądrości — jest głupcem, ani jego dobroci — jest egoistą, ani wyrafinowania intelektualnego — jest ordynarnym snobem. Jego zawód nie bardzo doń pasuje. Trudno sobie wyobrazić, by jakakolwiek siła mogła odłupać z tej skamieniałej osobowości okruchy geniuszu.

Wygoda, wynikająca z uczynienia bohatera powieści pisarzem, jest oczywista. Autor może wtrącać swoje komentarze pod pozorem, że pochodzą od Sobeckiego, w którego pamiętniku znajdujemy niekiedy bardzo interesujące uwagi. Zaraz na początku Sobecki notuje, że wbrew radom Basi nie zamierza pisać „powieści o tematyce współczesnej", powieści, która miałaby być „czymś pośrednim pomiędzy pamiętnikiem a reportażem".

> Tego rodzaju praca w ogóle przekracza możliwości pisarza. Jest niewykonalna. Opisywanie wypadków w czasie wojny, które zmieniają się jak w kalejdoskopie, to to samo co malowanie krajobrazu z okna pędzącego pociągu. Wrażeń tych nie można zamknąć ani w obraz, ani w ramy powieściowe.

Ten fragmencik jest przykładem zdolności Bulicza do literackiego wyrażania swych myśli. Porównanie z pędzącym pociągiem udowadnia tezę pisarza za pomocą środków artystycznych. Pragnąłbym jednak zwrócić uwagę, że teza ta i koncepcja książki, która ją zawiera, są ze sobą sprzeczne. Chociaż pisarz Orwid-Bulicz nie postępuje w myśl tych rozważań i wniosków krytycznych, uwagi te zdają się jednak pochodzić od niego, a nie od pisarza Sobeckiego. Czasem bowiem mając wolną rękę Sobecki zapisuje własne rozważania. Wtedy czyni to z dziękiem gęsi i z inteligencją pensjonarki. Na przykład:

> W dziedzinie uczuć (...) nie ma dróg i drogowskazów. Wszystkim kieruje instynkt i jakaś głucha, ślepa siła, która zmusza nas do powołania nowego życia. A jeśli na pomoc wezwiemy rozum, wówczas miłość niknie, albo — co gorzej — staje się niemoralna.

Jak widzimy, Sobecki wyznaje jakiś witalizm, jakiś determinizm, kierowany tylko przez matkę-naturę. A ostatnie zdanie w powyższej cytacie jest już zupełnym barbarzyństwem, świadczącym, że Sobeckiego nie interesuje ani psychologia, ani w ogóle filozofia. Ten i podobne jemu prymitywizmy myślowe każą wątpić w możliwość pogodzenia karłowatości intelektu Sobeckiego z jego zawodem. Jednak kiedy indziej Sobecki pisze jak pisarz (choć może nie geniusz):

> Wydaje mi się czasem, że uczucia ludzkie składają się z tak subtelnych włókien, że nie można ich ująć, bo się rozsypią w palcach. Zawsze są splątane z innymi i tracą barwę, gdy się je chce oddzielić i wyjąć z tej dziwnej tkaniny. Uczucia, nawet najprostsze, mają najczęściej swoje własne, bardzo zawiłe podłoże.

A oto jeszcze jeden fragment pamiętnika Sobeckiego:

> Powiedziałbym, że narody, to jak ławice ryb... Płyną głębokimi rzędami, ale każda z nich płynie „osobno". Ma własne swoje otoczenie, sama się żywi i macha własnymi płetwami. — O kierunku decyduje wprawdzie „wola zbiorowa", ale co z tego, jeśli każda ryba musi dla siebie torować swoją własną drogę? Płynie razem z innymi, a jednak jest właściwie — sama.

W tym fragmencie widać już jedną z najpoważniejszych wad całej powieści — niedbalstwo wyrażania się. „Głębokie rzędy", cudzysłów, w którym ujęty jest wyraz „osobno", „torowanie drogi" w wodzie — to niedoszlifowane skazy na prozie. Lecz prostota ostatniego okresu rozgrzesza i dlatego postawię ten fragment na równi z poprzednim: obydwa są próbką mocy, która drzemie w piórze Orwida-Bulicza.

Pretensjonalny jak primaballerina pamiętnik Sobeckiego, który ponadto w rozmowach stawia pytania, jakby co dopiero spadł z księżyca, najbardziej jaskrawo wykazuje artystyczną nieprawdziwość tej postaci. Bulicz każe Sobeckiemu mówić albo myśleć inteligentnie wtedy, gdy za jego pośrednictwem mówi od siebie; kiedy indziej niechęć do swego bohatera posuwa tak daleko, że Sobecki staje się absurdalny, n. p. w swej aferze miłosnej z Olgą Bielawską. Nawet objawy schizofrenii erotycznej, jedynego aspektu jego osobowości, jaki autor zbudował w sposób naprawdę artystyczny, nie pasują do niego, nie tłumaczą jego życia, nie zawierają się w wewnętrznej logice powieści.

Mężczyźni Bulicza zbyt często uśmiechają się, a kobiety — śmieją. Kobiety śmieją się czasami z upartością psychopatyczną, a przecież nie takimi chciał je widzieć ich twórca.

Zakończenia rozdziałów są wprost fatalne. Na przykład rozdziału szóstego. Dialog między Basią a Sobeckim jest pełen napięć emocjonalnych, których autor nie rozładowuje, dzięki czemu rozmowa nabiera jakiegoś głębokiego znaczenia. Zbliża się koniec rozdziału, oczekujemy jakiegoś dramatycznego rozwiązania, gotowiśmy prawie na „katharsis" a tu Sobecki powiada:

> Dobrze, w najbliższych dniach porozmawiam z nim (t.j. z Broniewskim), a teraz chodźmy bo niby ciepło, wiosna a przeziębić się można. Nic czujesz się najlepiej, wracajmy więc do domu.

Poprzez bladość formy tu i ówdzie przeświecają anemiczne, co prawda, ale prawdziwe żyłki walki o całą, kompletną, nową rzeczywistość, którą jest każde dzieło sztuki. Rozdział dwunasty, na przykład, otwiera się i zamyka tym samym niepozornym motywem, uwagą jakby marginesową, ale kondensującą treść wydarzeń: z pozoru nie zmieniło się nic, a naprawdę wszystko.

Spośród ludzi książki najlepiej wypadły postacie epizodyczne, jak Szwedowski, były inżynier, który na czas wojny został handlarzem i zasmakował w swym nowym zawodzie; zatroskany doktór Dwornik, który nie ma wątpliwości, że Anglosasi dobrze wiedzą, co się dzieje pod opiekuńczymi skrzydłami sowieciarzy i już lada dzień uderzą; Puławski, socjalista, który w inteligentnej, bardzo dobrze napisanej rozmowie z Sobeckim mówi, że gigantyczny plan komunistów „doprowadzi ludzkość do nie dającej się opisać katastrofy". Takich postaci, które spulchniają glebę tej książki, jest dużo, cały tłum.

Powieść Orwida-Bulicza przeczytać warto głównie dla jej wstrząsających, czasem wprost rewelacyjnych opisów Kraju w pierwszych miesiącach okupacji sowieckiej, a szczególnie dla opisów Ziem Odzyskanych. Jednym z najbardziej makabrycznych obrazów książki jest opis miasta wisielców na Dolnym Śląsku. Po wkroczeniu do miasteczka żołnierze Czerwonej Armii zabawiali się wieszaniem wszystkich, dosłownie wszystkich mieszkańców w ich własnych domach. Bulicz pisze o tym nie po to, aby dostarczyć czytelnikowi dreszczyków emocji, lecz dlatego, że pragnie wzbudzić w nim to, co czuje sam: litość dla Niemców, naszych tak niedawnych i tak straszliwych wrogów, ale ludzi. Ludzi, którzy tak samo jak i my kochają, nienawidzą, są nieszczęśliwi a nade wszystko boją się i mają tę samą zdolność cierpienia. Ta litość jest na wskroś chrześcijańska. Pewnie: spod gorejącego jeszcze popiołu prostej, ludzkiej sprawiedliwości, na dobitek przywalonego teraz lawą komunizmu trudno wygrzebać miłość po to, by ją ofiarować nieprzyjaciołom. Nic jednak nie uwalnia nas od obowiązku przebaczania, które jesteśmy winni, jeśli chcemy się zwać chrześcijanami. Zresztą nienawiść więcej szkody przynosi temu, który nienawidzi, niż temu, który jest nienawidzony. Niejeden pewno powie, że Bulicz wybrał niepolityczny moment dla takich refleksji. Lecz dobro i zło nie zależą ani od czasu, ani od położenia geograficznego, ani od sytuacji politycznej. Swą wiarę w konieczność i mądrość przebaczania Bulicz wyraził pokazując cierpienia, które muszą dotrzeć do nawet najbardziej zatwardziałego serca.

Opisując Rosjan Bulicz nie usiłuje ich sklasyfikować w jakiejś ludzkiej kategorii, zdefiniować komunizmu, którego istota nie jest jeszcze uchwytna. Może nie potrafimy we właściwej perspektywie spojrzeć na komunizm, dopóki nie przeminie. Autor pokazuje natomiast liczne obrazki, analizuje niektóre bardziej oczywiste cechy nowej tyranii. Pisze o ponurości żołnierzy sowieckich, o najczęściej dzikim, okrutnym, ale czasami przedziwnym ich postępowaniu. Zastanawia się nad pozornie absurdalnymi sloganami sowieckimi, wypisywanymi i wykrzykiwanymi przy każdej sposobności. Dostrzega barbarzyństwo w przepychu transparentów z podobiznami wyorderowanych i wyzłoconych wodzów. Zdumiewa się na widok politycznych manifestacji, które wszakże są czymś więcej, jakby liturgią „Nowej Wiary". Charakterystyką Polaków pod okupacją przywodzi na myśl hasło z książki Orwella: „Big Brother Watches You!" Słowem, skrzętnie notuje wiele fragmentów i wiąże je w konsekwentny szkielet, na którym zarysy całego potwora dostrzega się oczyma wyobraźni.

Mówiąc o powieści niesposób już dziś pominąć jej socjalne tło. „Jeśli jutro wojna..." dzieje się w środowisku inteligenckim. Mało ważne wyjątki, to góral (w pierwszych rozdziałach), szofer Staszek (wiezie Sobeckiego na Ziemie Odzyskane) i szofer-żołnierz, przydzielony Sobeckiemu przez wojewodę Piaskowskiego, a więc ludzie, których bohater powieści spotyka przypadkowo, mimowolnie. W całej książce autor tylko raz wyraźnie komentuje klasę tzw. „niższą".

> Górnicy śpieszyli się na dzienną zmianę, nieśli charakterystyczne manierki z kawą i niewielkie zawiniątka z chlebem. Na ich szarych i zmęczonych twarzach nie malowały się żadne uczucia. Szli do pracy jak dawniej, jak przed laty, bez względu na zmieniające się władze. Szli tak samo w deszcz jak i w słoneczną pogodę.

Ponieważ opis ten nosi cechy generalizacji rozciąga się jak gdyby na całą klasę robotniczą, robi wrażenie, że w literackich skrótach autor próbuje ująć całość rozległego i głębokiego problemu — nie wolno pominąć milczeniem jego fałszu. Niesłuszność wyłączania robotników poza dzianie się historii nie wymaga chyba uzasadnienia. To myślowe potknięcie się można by uważać za wyraz reakcjonizmu Bulicza, gdyby nie to, że w „Jeśli jutro wojna..." znajdziemy wiele gorzkich — i słusznie gorzkich — uwag o polskiej inteligencji.

Krytykę polskiej inteligencji, to jest tak nazywanej klasy społecznej najczęściej wypowiada pułkownik Molenda. W dyskusji z Sobeckim pułkownik definiuje inteligenckie wychowanie zwięźle i trafnie: „W szkole i w domu od dziecka wpajano nam zasady, ażebyśmy byli „grzeczni"! (...) Na samym początku świadectwa (...) umieszczano stopień z „zachowania"." Ten system wychowania wynikał stąd, że — jak pisze prof. Chałasiński — ludzie „należeli i należą do inteligencji polskiej nie przez walory umysłu, lecz przez stanowisko towarzyskie".

Na podstawie swych spostrzeżeń autor-Molenda próbuje odkryć przyczyny choroby: w gimnazjum i na uniwersytecie uczono „rozmaitych mądrych rzeczy, (...) historii, matematyki, literatury i diabli wiedzą, czego tam jeszcze", ale zapominano „o charakterze o wyrobieniu woli, o pewnej wewnętrznej twardości". Z diagnozą tą nie bardzo można polemizować, bo Bulicz nie rozwija jej, do sedna sprawy nie podchodzi bliżej niż na odległość, która dzieli analizę od generalizacji.

W świetle poglądów socjalnych Molendy dostrzegamy rodowód pisarstwa Sobeckiego. Inteligencki ideał „życia kulturalnego XIX wieku stanowił powieściopisarz - literat, a nie budowniczy inżynier" (prof. Chałasiński), bo gdy się jest pisarzem, „wygląda się tak, jakby się zarobkować nie musiało". Pisarstwem więc Sobecki mógł zaspokoić równocześnie i głód chleba codziennego i takiej ambicji towarzyskiej, która by uchroniła go od wypadnięcia poza ghetto inteligenckie. To jednak wcale nie znaczy, że postać obdarzona jest życiem.

Strumień myśli tej książki nigdy nie rozrasta się dostatecznie, by nam uświadomić potęgę żywiołu, który go tworzy. Wielką jednak zaletą Bulicza — i dziś o wiele rzadszą, niż by to się wydawało — jest jego odwaga myślenia. Realia tej książki są warte poznania nawet, jeśli autor nie stopił ich w jednolitą materię, jaką można by nazwać — sztuką.

Wojciech Gniatczyński

*) **Roman Orwid-Bulicz JEŚLI JUTRO WOJNA, tom I i II. Biblioteka Powieści. Londyn, 1952.**

TERESA SKÓRZEWSKA

POWRÒT NA VIA APPIA

Rok temu Stowarzyszenie Pisarzy Polskich wydało broszurę, stanowiącą pozycję jedyną chyba w swej dziedzinie w piśmiennictwie emigracji.

„Powrót na Via Appia" I. Wieniewskiego to nawrót do zbyt zapomnianych źródeł europejskiej kultury.

André Malraux w odczycie, jaki miał w ostatnich tygodniach w ciągu Kongresu o Wolność Kultury w Paryżu, starał się znaleźć odpowiedź na pytanie, co musimy obronić („Ce que nous avons à défendre?") Zagrożoną kulturę Europy określił następująco:

„Kultura to całokształt wszystkich form sztuki miłości i myśli, które w ciągu wieków czyniły człowieka stopniowo mniej niewolnikiem; to dziedzina, gdzie w głębi naszej pamięci wśród ogromu obojętności kosmosu stoją drobne niezwyciężone postacie rybaków Tyberiady i pasterzy Arkadii".

Dalej przypomina nieśmiertelne słowa Antygony: „Nie przyszłam, by uczestniczyć w nienawiści, przyszłam, by uczestniczyć w miłości".

Jest groźnym paradoksem, że w chwili, gdy dostrzegamy, że stoimy wobec alternatywy: stworzenia tamy skutecznej przeciw napierającej fali barbarzyństwa, albo zagłady kultury — brak nam możności, czasu i sił wchłaniać wartości, które obronić musimy. Duch Europy tym przede wszystkim umiera, że zapomnieniem wysuszył źródła, z których wyrósł. Doktryna komunizmu wlewa się w martwą pustkę.

„Zakłamał się świat" — pisze Wieniewski. „Najdotkliwiej może ucierpiało pojęcie demokracji: jasne, określone rzetelnie grecką etymologią tego wyrazu, jako władztwo ludu, t. j. władztwo ogółu społeczeństwa. Ustrój demokratyczny jest jednym z zasadniczych elementów kultury zachodniej. Greckie ideały wolnościowe i rzymski humanitaryzm w połączeniu z chrześcijańską zasadą równości wszystkich ludzi i przykazaniem miłości bliźniego zrodziły koncepcję tej formy współżycia zbiorowisk ludzkich, która zapewnia możliwe maksimum sprawiedliwości socjalnej, wolności i rozwoju człowieka jako jednostki i członka społeczeństwa. Ale istotną, rdzenną ojczyzną demokracji jest starożytna Grecja."

Wiedzie nas więc tam autor, byśmy z Ateńczykami przysłuchać się mogli, jak im demokrację przedstawia Perykles. Trochę nam wstyd, że tekst Tucydydesa, który tę mowę Peryklesa przechował, był wielu z nas nieznany. Dobrze, że jest wśród nas miłośnik tych dawnych a wiecznie żywych spraw powracający do nich w codziennych lekturach i zapraszający do udziału w refleksjach na ich temat.

Ważne to, bo szamocząc się dzisiaj jak ryby w sieci na brzeg wyrzucone, zatracamy ludzką zdolność kierowania wzroku w przeszłość, by jej bogactwem przyszłość związać.

Malraux, którego odczyt z tej samej troski, co essay Wieniewskiego, zdaje się wypływać i do podobnych wniosków pobudzać, mówi jeszcze: „Nie zbiór wiadomości jest kulturą, choć pewne elementy wiedzy na pewno w jej skład wchodzą, na przykład wysiłek historii uczynienia przeszłości zrozumiałą. Kultura w pierwszym rzędzie przejawia się jako poznanie tego, co człowieka uczyniło czymś więcej, niż przypadkowym zjawiskiem we wszechświecie. W przeszłości doszukujemy się istoty wielkości człowieka: świadectw tej wielkości, wszystkiego, co przez człowieka zostało zdobyte".

„Powrót na Via Appia" przypomina właśnie zdobycie przez świat starożytny paru najistotniejszych ludzkich wartości, miłość wolności, miłość człowieka, pojęcie nadrzędności obywatela nad państwem, które dla jego dobra zostało stworzone.

W świecie tych wartości tkwią jeszcze korzenie naszego pokolenia, choć nie zdajemy sobie sprawy, jak ideologia Wschodu grunt już pod nimi podminowała; młodszym ten grunt stał się zupełnie obcy.

„Wprawdzie Perykles nie upowszechnił szkolnictwa" — twierdzi Wieniewski — „ale niewątpliwie upowszechnił kulturę w szerszym znaczeniu. Dzięki niemu imprezy artystyczne przestały być przywilejem wyższych sfer, a stały się dostępne dla mas. W ten sposób wychował Perykles społeczeństwo o silnych zainteresowaniach kulturalnych i wyrobionym smaku artystycznym, a rozkwit życia duchowego był imponujący. Urzeczywistniony przez Peryklesa mecenat nie miał w sobie nic totalistycznego był naprawdę tylko opieką, popieraniem, a przede wszystkim wytwarzaniem atmosfery".

Podkreśla też autor fakt, który dużo do myślenia daje: do rozkwitu jednej z najwyższych faz kultury nie doprowadziło szkolnictwo, lecz żywe związanie ogółu z twórczością największych umysłów, a przede wszystkim ze sztuką.

„Nasza kultura pobudza pytania, torujące drogę ku pogłębieniu świadomości człowieka" — twierdzi jeszcze Malraux.

Przychodzi na myśl, że sztuka może skuteczniej świadomość człowieka pogłębia, że przeczuwa prawdy pełniejsze, niż wiedza przyrodnicza, kierująca człowieka coraz wyłączniej ku oddaniu się w niewolę machiny ekonomicznej. Może stworzenie Antygony, wzniesienie katedry żłobiły istotniejsze drogi dla pochodu ludzkości, niż rozbicie atomu. Jak łatwo nauka dała się wciągnąć w służbę rozbudowy totalizmów, w których myśl zamiera, sztuka zanika. Brzmi w uszach fragment Wierzyńskiego:

„Wymyśliliśmy wszystko.
I cieszymy się z utraty pamięci.
I śmiejemy się z ludzi, którzy nie
wymyślili nic.
Ale wierzą w inny początek i koniec.
I klękają utrudzeni.
I twarz kryją w dłoni.
I wiedzą, co mówią,
Gdy szepczą wśród nocy:
Odpuść nam nasze winy.

Nie związane są z sobą przytoczone zdania — obce sobie głosy ludzi, którzy je wyrazili, lecz brzmią pokrewnie. Łączą się w rytm uparcie powtarzający, że przeszła ludzkość, że wróci ludzkość na Via Appia.

Teresa Skórzewska

SZEKSPIR NA FILMIE

Znany aktor John Gielgud omawia w „Sunday Times" (z d. 6 lipca) zagadnienie filmowania utworów Szekspira. Gielgud stwierdza, że w ciągu ostatnich lat trzydziestu przedstawienia teatralne sztuk Szekspira osiągnęły dosyć wysoki poziom, przy czym zaznaczyło się bogactwo eksperymentów. Dużo zrobiono w kierunku podniesienia poziomu recytacji wierszy, choć poziom ten daleki jest jeszcze w Anglii od tego, co należy się największemu z poetów brytyjskich, jakim był Szekspir.

Sukces filmu „Henryk V" obudził nadzieje na dobre sfilmowanie innych utworów Szekspira, zdaniem Gielguda jednak nie nadają się one do adaptacji filmowej w tym stopniu co „Henryk V". Już „Hamlet" Sir Laurence Oliviera był słabszy. Orson Welles w swej wersji „Makbeta" użył specjalnej metody przy odtwarzaniu słynnego monologu „to-morrow and to-morrow". Obecnie Joseph Mankiewicz zajęty jest robotą nad sfilmowaniem „Juliusza Cezara"; w filmie tym gra właśnie John Gielgud.

ROSA BAILLY

W KOŚCIELE ŚW. TERESY w WILNIE

Ileż złoceń zwikłanych się łamie,
Rzuconych w bezładzie na kamień
Na fryzie ponad ołtarzem!
Ileż modlitw splątanych, szalonych
Zderza się w duszy, wzburzonej
Od niezgodzonych marzeń!
Lecz pośród przepychu udręki,
Wśród niepokoju i męki
I niemych, bolesnych spiętrzeń —
Wyłania się z cienia tej nawy
Portyk prosty, jasny, łaskawy —
Kolumienki przy Hostii Najświętszej.

* * *

Aniołowie nad ziemią schyleni
Mają lotki złocone gromem,
Wyrwane z ogonów komet...
Wieją ich szaty z płomieni,
Jak pożar, co w sercu się wzniecił,
Skrzydła i szaty przeświecił,
Jaśnieje, rośnie i wzbiera
I cień każdej fałdy pożera!
Ocieka zachodu purpura
Po kolistych gipsowych chmurach;
A przez mrok od głównego ołtarza
Promień ostrą przelatuje strzałą
I w serca nasze się wraża,
Aby zabić chwiejną opieszałość...
I na ludzkiej tęsknocie smutnej
Kładzie pieczęć rozpalonym żelazem:
Twym wezwaniem i Twym rozkazem,
O pragnienie Boże okrutne!

LITOŚĆ

Nieustannie się waham i krążę
Między Tobą a nimi!
Miłość z Tobą, o Panie, mnie wiąże
Łodygami złotymi.
Gdy u stóp Twych spoczywam najsłodziej —
Róża rozkwitająca —
Płacz nad ludźmi, jak deszcz przychodzi
I płatki strąca.
I opada łagodnie, pomału
Za płatkiem — płatek...
Osypuję, osypuję się cała
Nad smutnym światem.

Przełożyła: **Zofia Bohdanowiczowa**

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 20 lipca 1952.

DZIAŁ POCHWAŁ

GOMBROWICZ DLA WSZYSTKICH

Po co chwalić Gombrowicza? Przecież on sam to potrafi. Oto próbka: „Trans-atlantyk", to utwór najbardziej patriotyczny i najodważniejszy, jaki kiedykolwiek napisałem." Albo: „Dla mnie literatura, to nie kwestia kariery i ewentualnych pomników (uważacie państwo: „ewentualnych", więc możliwych, i to w liczbie mnogiej), ale wydobycie z siebie tej maksymalnej wartości, do jakiej jestem zdolny." Oba cytaty z ostatniego zeszytu „Kultury".

Chwalić trzeba, bo... oba te cytaty zawierają w moim głębokim przekonaniu najszczerszą prawdę. Chwalić trzeba Gombrowicza, omawiać i propagować jego myśli, bo inaczej któż weźmie je na serio? Gombrowiczowe butady, miny i grymasy, jego „malowanie śledzia na zielono", słowem: forma tego formoburcy — sprawia, że pisarza, który jest jednym z najpoważniejszych, jakich dziś mamy, mało kto traktuje poważnie.

To nie jest wcale krytyka formy, w jakiej Gombrowicz się wypowiada. Nonsensem byłoby twierdzić, że to, co mówi, powinien czy choćby mógłby mówić inaczej. To jest krytyka jego czytelników trzymających się kurczowo przesądu, że głębia, panie dzieju, musi mieć gładką powierzchnię. Atlantyk nie przestaje być głęboki, gdy mu burze wykrzywiają gębę. „Trans-atlantyk" jest statkiem pijanym, ale to wcale nie umniejsza jego tonażu.

Na to niezrozumienie Gombrowicza jest rada. Nie można wymagać od pisarza, by przestał mówić swoim językiem, ale, jeśli ten język z różnych powodów nie odpowiada wielu czytelnikom, zadaniem krytyka jest przełożyć myśli warte przełożenia na język inny, gorszy, ale strawniejszy, czyli — popularyzować. Nie obędzie się tu bez wulgaryzacji i nawet wypaczeń, ale to jest zło mniejsze od niezrozumienia, rodzącego — na dobitek — lekceważenie.

W „Trans-atlantyku" Gombrowicz pragnie „bronić Polaków przed Polską". Z geopolitycznych i historycznych przyczyn naród nasz jest tworem stosunkowo słabym. Długie okresy niewoli i niemal stały stan zagrożenia sprawiły, że naród polski nie mógł osiągnąć pełni życia i rozwoju. Nasze życie zbiorowe, bolesna i bohaterska historia zbiorowości polskiej, wywiera przemożny wpływ na nasze życie indywidualne. Losy przeciętnego Polaka są znacznie ściślej związane z ojczyzną niż losy jednostek należących do innych, szczęśliwszych narodów. Wiele naszych indywidualnych dążeń musiało się podporządkowywać nakazom zbiorowości. To podporządkowanie rodziło nieraz heroiczne cnoty, niemniej jednak tłumiło wiele normalnych, indywidualnych dążeń. Nie jesteśmy mniej warci od Francuzów lub Anglików, ale historia, rozwinąwszy w nas jedne cnoty, nie dała nam rozwinąć wielu innych. W tym sensie słabość Polski, jej „nienormalny" rozwój znajduje odbicie w życiu i charakterze Polaków.

Weźmy dla przykładu sprawy zawodowe. Polski ksiądz, lekarz, pisarz, inżynier, nauczyciel — jest często najpierw Polakiem, a dopiero potem księdzem, lekarzem, pisarzem, inżynierem, nauczycielem. Prawda, że mieliśmy jednostki, które służbę ojczyźnie umiały wspaniale pogodzić z powołaniem zawodowym. Trudno jednak zaprzeczyć, że niejeden ksiądz mógłby być lepszym kapłanem, gdyby czasu koniecznego na pogłębienie wiedzy teologicznej i życia duchowego nie musiał ofiarnie zużywać na działalność społeczną, polityczną a nawet gospodarczą. Kto potrafi powiedzieć, ile potencjalnych odkryć, ile intuicji diagnostycznej i wirtuozerii chirurgicznej naszych lekarzy zmarnowało się w ich ludymowej szarpaninie? Gdyby „Siłaczka" nie była polską nauczycielką, może zaćmiłaby sławę pani Montessori? Może gdyby pani Curie została w Polsce, by ją „podciągnąć wzwyż", nie odkryłaby radu? To są pytania bez odpowiedzi, ale na pewno — pytania poważne. Conrad był „odstępcą", ale dzięki temu mógł zostać wielkim powieściopisarzem i w ostatecznym obrachunku opłaciło to się Polsce, która może teraz dyskontować sławę „wielkiego rodaka".

Może więc są okoliczności, w których nie powinniśmy poddawać się całkowicie Polsce — pozwalać, aby **ona nas stwarzała?** Może by trzeba rozluźnić nieco tę zależność Polaków od Polski, zależność, która nieraz pobudza myśl, rozpala uczucie, popycha rozwój, ale nieraz też paraliżuje, krępuje, hamuje? Może w pewnych wypadkach godzi się na pewien czas uśpić troskę, czy jakieś nasze swobodne myślenie, czucie i działanie nie zaszkodzi Polsce?

Czy to jest zjawisko patriotyczne? Kryje ono w sobie pewne niebezpieczeństwa, może się stać pożywką dla kundlizmu, jeśli np. spróbują się w ten sposób rozgrzeszyć ci Polacy londyńscy, którzy do swych dzieci mówią tylko po angielsku, akcentem bliższym kołomyjskiego niż oksfordzkiego... Gombrowiczowi jednak nie idzie o to, aby zniszczyć nasze poczucie wspólności z narodem. Polska składa się z Polaków. Im silniejszy, im zdolniejszy do życia będzie Polak, tym żywotniejsza, silniejsza stanie się Polska. Idzie o to, aby Polak odnosił się do Polski twórczo, jako do czegoś, co **przez niego musi być stwarzane.**

Czytelnik, który zada sobie trud porównania tego wywodu z refleksjami Gombrowicza ogłoszonymi w 57 - 58 zeszycie „Kultury", będzie mógł stwierdzić, jak ściśle ta moja popularyzacja pokrywa się z tekstem autora „Ferdydurke". Dodałem właściwie tylko wstęp o zawodach, w którym staram się zilustrować przesłanki uważane przez Gombrowicza za oczywiste i elementarne. Reszta, to słowa i zwroty Gombrowicza, tyle że przylizane, obwarowane zastrzeżeniami, cudzysłowami, pytajnikami zamiast wykrzykników. Mam nadzieję, że w ten sposób wysterylizowana zasadnicza myśl Gombrowicza straci dla wielu czytelników swą zdolność pobudzania ich do gniewu lub... śmiechu i będzie mogła być wzięta poważnie, na co bardzo zasługuje.

Podkreślenie tej właśnie myśli, że Polska nie jest absolutem, że „jest dziełem Polaków, nie Bogiem, przed Którym się pada na kolana" — wydaje mi się szczególnie na miejscu w piśmie katolickim.

Czytam teraz właśnie przekład angielski „L'Enracinement" Simone Weil. I oto, jakie dziwne znalazłem tam echo owego „zgiełku saturnicznych grzechotek i dzwoneczków", jak Jan Bielatowicz określił twórczość Gombrowicza:

„Łan zboża — pisze Simone Weil — zasługuje na poszanowanie nie dla siebie samego, ale dlatego, że jest pokarmem dla ludzkości. Tak samo winniśmy szacunek wszelkiej zbiorowości — ojczyźnie, rodzinie i innym — nie dla niej samej, ale dlatego, że jest pokarmem dla pewnej liczby ludzkich dusz."

I dalej:

„W pewnych okolicznościach chłop, aby uprawić swą rolę, musi ryzykować wyczerpanie chorobę czy nawet śmierć. Zawsze jednak będzie sobie zdawał sprawę, że to dla chleba.

Podobnie, nawet wtedy, gdy konieczna jest całopalna ofiara, żadnej zbiorowości nie należy się od nas nic więcej od takiego poszanowania jakie się należy pokarmowi.

Często role są odwrócone. Są zbiorowości, które zamiast służyć za pokarm, robią coś wręcz odwrotnego: pożerają dusze."

Michał Sambor

DYSKUSJE

O TALENCIE LITERACKIM

Szanowny Panie Redaktorze.

Nie lubię łykać pigułek słodzonych. Jestem zwolennikiem końskich kuracji. Nad farmaceutykę stawiam chirurgię. Toteż mam lekki żal do Michała Sambora, że swoje uwagi (ŻYCIE, nr 263) o kilku moich opowiadaniach, drukowanych w „Wiadomościach" i „Gazecie Niedzielnej", poprzekładał lukierkiem „achów" o moim talencie.

Talent jest rzeczą nieuchwytną, niekonkretną. Przede wszystkim — ułudną. Talent można mierzyć, prawda — ale tylko jednostkami czasu. Najmniejszą jednostką jest wiek. Co przetrwało wiek, jest dziełem talentu. U nas najczęściej za talent uważa się zdolność przystosowania swej sztuki do panującej mody. Dlatego w swoim czasie „utalentowany" był Przybyszewski. Nie minęło pół wieku i okazało się — grafoman. Straszny. Łzawy, tupeciarski. Mówi się też „wielki talent" o Żeromskim. Ale już coraz rzadziej. W gruncie rzeczy [illegible] grafomanii: wodospady słowne. Rozbłyskują w słoneczku swojej epoki łukami fałszywych tęcz i gasną.

Czy mam talent — nie wiem ani ja, ani Sambor. I nigdy się nie dowiemy. Dopiero nasze prawnuki będą o tym wiedziały na pewno. Więc nie mówmy o rzeczach niepewnych, bo szkoda czasu i drogiego, satynowanego papieru ŻYCIA.

Na większość uwag Sambora się zgadzam — więc też nie będziemy o nich mówili. Ale wiele innych wynika z nieporozumień i te chciałbym wyjaśnić. Wprawdzie nie ma zwyczaju aby autor ucierał się ze swoimi krytykami o nieporozumienia, ale przyjazny i — zwłaszcza przy końcu — [illegible] ton tych uwag [illegible], co uważam za swój obowiązek wobec i krytyka i czytelników i siebie samego.

„W „Potrzebińskim" — powiada Sambor — (Kowalewski) [illegible] w niedopuszczalny sposób z psychologiczną podstawką komunizmu"... Dlaczego w „niedopuszczalny"? Wyraziłem tam pogląd, szkicowo i nienaukowo, bo nie to było tematem opowiadania, — że komunizm ciągnie ambicje ludzi jak magnesem, przyrzeczeniem panowania, znaczenia, bycia czymś. A cóż w tym „niedopuszczalnego"? „Dziś niczym, jutro wszystkim my" — śpiewają komuniści całego świata [illegible]. I to są najbardziej pociągające, najbardziej w takt ich marzeń uderzające słowa „Międzynarodówki". Mnie też to z'owa pociągnęły do komunizmu. Dlaczego mam się obłudnie zapierać? I dlatego [illegible] prawdę, że pycha jest pierwszym z grzechów głównych i [illegible] najgłówniejszym motorem postępu. Sambor radzi mi czytać Irzykowskiego dla dopełnienia mojego wykształcenia i pogłębienia płytkości. [illegible] zwrócić uwagę Sambora na pragmatystów amerykańskich — Williama Jamesa, Johna Deweya — którzy [illegible], moim zdaniem, z Ewangelią, uważają za pierwszy motor działania człowieka uspołecznionego.

„Maciusia Szarego" zepsuł (Kowalewski) „ideą", wyrażającą sentymentalny i fałszywy pogląd na cel sztuki". A jakiż to ten pogląd na cel sztuki? [illegible] sztuka ma człowieka uszlachetniać, ulepszać i dawać mu jak najwięcej szczęścia. Oczywiście „szczęścia", pojętego [illegible] Dlaczego to „sentymentalne"?

A za „Trzy śmierci" to już, przepraszam, ale zbyt [illegible] Sambor mnie sztorcuje. Rzecz główna: idea tego opowiadania. Sambor uważa, że chciałem powiedzieć tylko tyle, jakoby: „Można być bardzo porządnym człowiekiem jedząc śledzia w dzień wigilijny". Nie, nie to chciałem powiedzieć. Choćby dlatego, że [illegible]

A idea [illegible]

Chrystus i Sokrates. Czy to ja porównałem Chrystusa z Sokratesem? [illegible]

Zarówno w życiu, jak w tym, co piszę. I to jest klucz — bardzo może nieskomplikowany i dlatego tak trudny do spostrzeżenia — do tego, co piszę. Wydaje mi się, że Sambor mieszał pojęcie głębi z pojęciem skomplikowania. [illegible] głębia — to Szekspir, skomplikowanie — Żeromski.

Jeśli chodzi o formę, o „spartolone" partie, to ja ich widzę więcej nawet, niż Sambor. [illegible] Te, wielkie nieraz, błędy nie wynikają z mojej „niecierpliwości", tylko po pierwsze z braku prawdziwego talentu, który to „talent" Sambor we mnie przecenia; a po drugie z braku swobodnej głowy. W każdym dziele doskonałym jest 95 proc. pracy i 5 proc. talentu. W mniej doskonałym — 100 proc. pracy. To znaczy, że twórca musi się poświęcić swemu dziełu całkowicie, całą duszą, całym sercem i głową. Gdybym dostawał sto funtów za opowiadanie, to wtedy bym mógł, wydaje mi się, pisać prawie bez błędów. [illegible] Ja mogę poświęcić na jedno opowiadanie maksimum dziesiątą część tego czasu, łącznie z myśleniem i czytaniem etc. źródeł natchnień.

W sumie jestem Samborowi za jego uwagi ogromnie wdzięczny, choć nie wszystkie były, moim zdaniem, [illegible]. Ale jeśli tak utalentowany pisarz i krytyk nie zrozumiał moich intencji na pierwszy rzut oka, to znaczy, że je źle wyraziłem. Postaram się pisać jaśniej.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Janusz KOWALEWSKI

PAPIEŻ GRZEGORZ XVI I POLSKA

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł p. Bolesława Taborskiego w nrze 263, bardzo trafny i równie zajmujący, zawiera pewną nieścisłość, która zresztą nie osłabia w niczym wywodów autora. Słusznie pisze p. Taborski, że papież Grzegorz XVI w r. 1832 w swej allokucji dobitnie potępił powstanie listopadowe. [illegible] dalsze twierdzenie, że w czasie bytności Mikołaja I w Watykanie „wystąpił jeszcze kategoryczniej", tak że car „dokonały verbis veritatis opuścił Watykan jak zmyty", polega na [illegible] pogłoskach, które okazały się bezpodstawne. Epizodowi temu poświęciłem obszerny artykuł temu dwa lata w nrze 222 „Wiadomości".

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku

Stefan BADENI

Dublin 5.7 1952.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

WSPOMNIENIA HERLINGA - GRUDZIŃSKIEGO PO FRANCUSKU. „Le Figaro Littéraire" z d. 28 czerwca i 5 lipca zamieścił obszerne wyjątki z książki Gustawa Herlinga-Grudzińskiego „Un monde à part", która wkrótce ukaże się nakładem firmy Plon. Tłumaczenia dokonała pani Hélène Claireau.

W przedmowie do ogłoszonych obecnie wyjątków pisarz francuski Rémy Roure podkreśla tragiczny zamęt duchowy i załamanie naszych czasów.

„Ongiś — pisze — podnosiły się protesty, niekiedy gwałtowne, przeciw losowi zesłańców politycznych na Syberię. Powieści Dostojewskiego czy Tołstoja zwróciły na ich cierpienia uwagę świata. [illegible] „monde à part", tego „univers concentrationnaire", [illegible] Zapomina się o hitlerowskich obozach koncentracyjnych, w których ludzie żywcem gnili o zaduchu trupiarń, o woni dymów, unoszących się z przysadzistych kominów krematoriów i komór gazowych Oświęcimia, Ravensbrucku, Mauthausen, Flossenburga. Jakże w tych warunkach „zdawać sobie sprawę" z Kołymy?

„Dramat polega na tym, że kiedy zapomina się o przeszłość, zapomina się również o teraźniejszość. A jednak obozy deportowanych istnieją, [illegible] okropnościom koncentracyjnych. Jeśli jednak [illegible] teraźniejszość [illegible] badań, [illegible] zapomnienie o tamtej przeszłości".

Wśród dnia „Figaro Littéraire" z d. 28 czerwca zamieściło na pierwszej stronie fotografię drewnianej rzeźby ludowej z Nowego Targu w Polsce, przedstawiającej zadumanego Chrystusa. Fotografia ta stanowi ilustrację do artykułu R. M. Albérèsa „L'homme et le cosmos", wywodzącego, że główną przyczyną rozkładu duchowego naszej epoki jest przerwanie się więzów, łączących człowieka z wszechświatem, których wyrazem były wierzenia religijne. Podpis pod fotografią Chrystusa z Nowego Targu brzmi: [illegible]

[illegible] PAŁACU WERSALSKIEGO. Pałac królewski w Wersalu pod Paryżem [illegible] zniszczenie [illegible]

Od pół roku z górą prasa francuska [illegible] alarmujące artykuły. Dziennik „Figaro" zainicjował składkę publiczną na ratowanie tego zabytku; [illegible]

Ostatnio zajęła się tą sprawą francuska Rada Ministrów. Uchwaliła ona projekt specjalnej ustawy i przyznała kredyt 380 milionów franków (tj. 380.000 funtów szterl.) na konserwację i odnowienie pałacu.

„WIECZERZA PAŃSKA" LEONARDA DA VINCI OCALONA. Słynny obraz Leonarda da Vinci „Wieczerza Pańska", namalowany na ścianie refektarza klasztoru dominikańskiego przy kaplicy Santa Maria delle Grazie w Mediolanie, znajdował się jeszcze kilka lat temu w takim stanie, że zdawałoby się, iż nic nie zdoła go uratować. Okazało się jednak, że nowoczesne metody konserwacyjne zdolne są sprostać nawet najtrudniejszym zadaniom, oczywiście o ile znajdą się na to odpowiednie fundusze.

Istnienie obrazu zagrożone było właściwie od chwili jego namalowania. Było to przede wszystkim wynikiem faktu, że Leonardo malował obraz wprost na murze, pokrytym nie wapnem, ale jakąś tajemniczą substancją, której sam był wynalazcą, z gipsem jako podstawowym składnikiem. Toteż już w drugiej połowie XV i w XVI wieku podnosiły się głosy, że obraz niszczeje w przerażającym tempie i traci swe barwy. Procesu tego zahamować nie mogły nieudolne restauracje, przeprowadzane w XVII i XVIII wieku. Nieco lepszy wynik dała restauracja słynnego fresku, dokonana w pierwszych latach XX wieku przez Cavenaghi'ego: brakiem jej było, że nie zostały usunięte zniekształcenia obrazu, popełnione przez poprzednich jego „konserwatorów". Nawet jednak w ciągu ostatniego półwiecza obraz ulegał ciągłemu zaciemnianiu i powolnemu niszczeniu przez wpływ mgły mediolańskiej, która jest niemal równie jadowita jak mgła londyńska.

Przyszła druga wojna światowa i — we wrześniu 1943 r. — bombardowanie śródmieścia Mediolanu przez lotnictwo amerykańskie. Bomby rozwaliły kaplicę, klasztor i refektarz Santa Maria delle Grazie. Jakimś cudownym zrządzeniem ściana z freskiem Leonarda wytrzymała napór i nie zawaliła się, w czym dużą rolę odegrały ustawione dla jej ochrony rusztowania i worki z piaskiem. Przez dwa lata następne „Wieczerza" Leonarda stała odsłonięta pod gołym niebem, narażona na wszelkie wpływy atmosferyczne. W r. 1945 można było przystąpić wreszcie do akcji konserwacyjnej. Refektarz dominikański odbudowano; sam obraz starannie odrestaurowano, wzmacniając jego odporność różnymi substancjami chemicznymi. Stworzono specjalny system ogrzewania dla wyłączenia wpływów wilgoci. Przy odnawianiu usunięto też wspomniane zniekształcenia poprzednich „naprawiaczy", przywracając obrazowi jego oryginalny wygląd.

Od pewnego czasu liczne rzesze wiernych i miłośników sztuki z całego świata mają znów możność oglądania arcydzieła Leonarda, tak cudownie uratowanego od zagłady.

„RUBIEŻE CYWILIZACJI ZACHODNIEJ". Pod tytułem „Borderlands of Western Civilization. A History of East Central Europe" ukazała się w Nowym Jorku nowa obszerna książka Oskara Haleckiego, profesora historii wschodnio-europejskiej na Fordham University. Książka, licząca ponad 500 stron druku, omawia dzieje Europy Środkowo-Wschodniej na tle ogólnej historii Europy aż po drugą wojnę światową i sytuację, jaka się po tej wojnie wytworzyła. Jest to pierwsza tego rodzaju drukowana praca w języku angielskim.

HISZPAŃSKA POEZJA BAROKOWA. W r. 1605 ukazała się drukiem pierwsza część antologii poezji hiszpańskiej pt. „Flores de Poetas ilustres de España"; redaktorem antologii był Pedro Espinosa. Objęła ona przedstawicieli rozwijającego się wówczas, nieskrystalizowanego jeszcze stylu barokowego w poezji, wśród których na miejsca czołowe wybili się Góngora oraz Lupercio Leonardo de Argensola wraz ze swym mniej uzdolnionym bratem Bartolomé.

Podobnie jak w innych krajach Zachodu i w Hiszpanii zaznacza się od pewnego czasu fala zainteresowania stylem barokowym zarówno w sztuce jak i literaturze. Wyrazem tego są m.in. dwie świeżo wydane antologie. Pierwsza z nich pt. „Rimas de Lupercio y Bartolomé L. Argensola" obejmuje poezje wspomnianych wyżej braci. Antologię zredagował i opatrzył przedmową oraz dopiskami J. M. Blecua (cena w W. Brytanii za 2 tomy £2.8.0). Druga antologia obejmuje utwory Juana de Tasis, Conde de Villemediana, poety dużej miary, którego antologia Espinosy z początków XVII wieku w ogóle nie uwzględniła. Książka, wydana w Madrycie, rozprowadzana jest w Wielkiej Brytanii przez Dolphin Book Company w Oksfordzie (cena 8/6).

Echo, jakie te antologie wywołały we Francji i Anglii, świadczy o wzrastającym w tych krajach i w ogóle w świecie zachodnim zainteresowaniu kulturą hiszpańską.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

BRYTYJSKIE WYDARZENIA KULTURALNE OSTATNIEGO OKRESU

CZYTELNIA BRITISH MUSEUM

W dniu 1 lipca nastąpiło otwarcie odnowionej wielkiej czytelni (Reading Room) British Museum. Czytelnia ta zajmuje sam środek kompleksu gmachów muzealnych, zbudowana została w r. 1857. Ma ona kształt kolisty; u góry nakrywa ją wysoka kopuła. Pomieścić może 450 — 500 czytelników, do czego doliczyć jeszcze należy miejsca w sąsiadującej z nią Bibliotece Północnej (North Library). Dokoła czytelni ciągną się rzędy półek, stanowiące bibliotekę podręczną, dostępną dla każdego z czytelników bez osobnego zamówienia. Biblioteka ta składa się z 25.000 tomów, z których większość stanowią encyklopedie, słowniki, bibliografie itd.

Od z górą pół roku czytelnia British Museum była zamknięta z powodu jej odnawiania i — w pewnym zakresie — modernizowania. Na ten czas uruchomiono w dwóch innych salach muzealnych czytelnię tymczasową, która oczywiście nie była tak wygodna, jak główny Reading Room. Musiano też z konieczności zredukować na ten okres przejściowy rozmiary biblioteki podręcznej.

Oddany znów do użytku w d. 1 lipca Reading Room uderza jeszcze świeżym zapachem farb i pokostów. Ściany aż po szczyt kopuły utrzymane są w barwach jasno-niebieskiej i złotej. Podłogę wyłożono specjalnego typu linoleum, które głuszy nie tylko kroki, ale i głosy ludzkie. Ogólnie też zauważono, że czytelnia jest obecnie znacznie „cichsza" niż poprzednio.

Otwarcie Rearing Room'u z zadowoleniem powitali liczni czytelnicy polscy, korzystający z biblioteki British Museum. Biblioteka ta liczy obecnie ponad 5 milionów tomów i jest jedną z paru największych w świecie. Obficie uwzględnione są w niej książki polskie—łącznie ze starodrukami z XVI i XVII wieku, — co w znacznej mierze jest wynikiem hojności ofiarodawców polskich. Wśród nich pierwsze miejsce zajął po powstaniu listopadowym ks. Adam Czartoryski. Walerian Krasiński, autor dwutomowego dzieła „Historical Sketch of the Rise, Progress and Decline of the Reformation in Poland", wydanego w Londynie w latach 1838—1840, stwierdza w przedmowie do tej książki, że „biblioteka British Museum posiada prawie wszystkie dzieła najlepszych pisarzy polskich, które zostały jej podarowane przez ks. Adama Czartoryskiego".

Byli też i liczni inni ofiarodawcy polscy, a o uzupełnianie działu polskiego starali się także Polacy, zatrudnieni w British Museum w charakterze bibliotekarzy (jak np. pod koniec XIX wieku pisarz i publicysta Edmund Naganowski). W ostatnim zaś okresie przed pierwszą wojną światową galicyjski Wydział Krajowy dostarczał bibliotece British Museum po jednym egzemplarzu każdego nowego druku polskiego. Tym nieprzyjemniej uderza fakt, że okres niepodległości 1919—1939 reprezentowany jest w bibliotece o wiele słabiej i mniej wszechstronnie niż np. wiek XIX.

Polskie zbiory biblioteki poniosły dotkliwy cios w czasie ostatniej wojny, kiedy bomba niemiecka trafiła w jedno ze skrzydeł gmachu i zniszczyła znajdujące się tam zbiory periodyków. Zagładzie uległy wówczas także komplety periodyków polskich z XVIII, XIX i XX stulecia w tym takie czasopisma jak „Biblioteka Warszawska", krakowski „Przegląd Polski", periodyki XIX-wieczne poznańskie, wileńskie, lwowskie, czasopisma Wielkiej Emigracji itd. Ocalały tylko komplety niektórych czasopism polskich (m.in. „Kłosów" i „Tygodnika Ilustrowanego"), mieszczące się w filii biblioteki British Museum w Colindale (koło Edgware). Filia ta mieści zasadniczo prasę codzienną i część tygodników, w praktyce jednak rozgraniczenie między nią a głównym gmachem British Museum, nie jest przeprowadzone zbyt ściśle.

POŻEGNANIE TRAMWAJÓW

W pierwszych dniach lipca ostatnie tramwaje londyńskie zostały zlikwidowane i zastąpione przez autobusy. Stało się to powodem do małej melancholijnej uroczystości. W Woolwich, skąd odjeżdżał ostatni w ogóle z tramwajów londyńskich, noszący nr. 1951, zgromadziły się na „farewell" duże tłumy. W ciągu dnia specjalne wozy tramwajowe obwoziły pasażerów specjalnie spragnionych tej ostatniej przejażdżki. By zachować pamiątkę, zapaleni miłośnicy tramwajów kładli na szynach pod przejeżdżające wozy monety miedziane, które pod kołami tramwajów przybierały fantastyczne kształty. Kiedy ostatni tramwaj ruszył z Westminsteru, wielu przechodniów na czworakach zbierało bilety, jakie z niego zostały wyrzucone. Pozabierano też tablice z numerami tramwajów, światła itd. W ten sposób brytyjska namiętność kolekcjonowania pamiątek wszelkiego rodzaju znalazła znów sposobność do wyładowania się.

Tramwaje — początkowo oczywiście konne — pojawiły się w Londynie w r. 1861, przetrwały więc ponad 90 lat.

PODWYŻKA STYPENDIÓW AKADEMICKICH

Miss Horsbrugh, minister oświaty w obecnym rządzie Churchilla, ogłosiła podwyżkę stypendiów państwowych i innych zasiłków dla studentów uniwersytetów. W chwili obecnej ze stypendiów tych korzysta 17.000 studentów; nadto 27.000 studentów pobiera zasiłki od różnych władz lokalnych.

Podwyżka dotyczy tylko studentów, którzy nie mieszkają u siebie w domu, ale w kolegiach, hostelach i pokojach wynajmowanych. W Oksfordzie i w Cambridge obecne stypendium roczne ulega podwyżce z 265 funtów na 288 funtów, tj. o prawie 10 procent (nieco mniej dostają jedynie studenci zamieszkali w St. Catharine's and Fitzwilliam House). W innych uniwersytetach stypendia były niższe i podwyżki są również procentowo niższe.

PREMIERA SZTUKI SHAWA Z R. 1936

Londyński „New Theatre" wystawił ostatnio sztukę pt. „The Millionairess" („Milionerka"), którą Shaw napisał w r. 1936 i która nigdy dotąd nie była grana w centrum Londynu. Recenzenci przyznają tej sztuce duże zalety, zarzucają jej jednak brak konstrukcji i konsekwencji w przeprowadzeniu wątku psychologicznego. Tłem sztuki jest środowisko ludzi bogatych z międzywojennego dwudziestolecia.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. **Adres redakcji i administracji:** Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: **AMB 6879. Drukarnia** PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//), wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ 1 cal przez 1 łam — £1, w tekście 50 proc. drożej, na stronie tytułowej 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowska, 101, Augusta Lambiotte, Bruxelles 3. — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella" Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Shiphhorst 2 i St. Mikiciuk (13 B) München 54, Seehamerstr. 4, Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse Case Postale 19, Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Angegatan 6c, Lund, Sverige, Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2$, pocztą lotniczą 5$. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N. J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue, Detroit 7, Michigan, 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734